



**PL:HU**

## Pecz – Wrocław. Historia wspólnej samotności

To najbardziej demokratyczna płaszczyzna porozumienia: samotność.

Książka „PL:HU” to podsumowanie ponad rocznego, literackiego dialogu pomiędzy Wrocławiem i Peczem; to opowieść rozpisana na pięć głosów – różniących się zarówno formą, jak i treścią, ale znajdujących wspólny mianownik właśnie w samotności. Nie powinniśmy jednak odbierać jej jako czegoś negatywnego; samotność działa tu jak impuls czy soczewka, przez którą autorzy nie tylko intensywniej doświadczają nowego miejsca, ale mocniej doświadczają też samych siebie. Literacka wymiana rezydencyjna pomiędzy Polską a Węgrami to więcej, niż wzajemne podglądanie się (gdzie Pecz patrzy na Wrocław, a Wrocław na Pecz). To przede wszystkim sytuacja, w której każdy z rezydentów miał okazję zobaczyć siebie w obcości, w świecie innych kontekstów, poza strefą kulturowego komfortu.

„PL:HU” to zapis wspólnej historii Programu Rezydencji Artystycznych A-i-R Wro i Pécs Writers Program, a przewodnikami po niej jest pięcioro autorów-rezydentów: Ilona Witkowska, József Keresztesi, Károly Méhes, Kinga Keszthelyi i Anka Herbut.

## Tu nie jesteś u siebie, moja droga

W eseju „Tu nie jesteś u siebie, mój drogi” Milan Kundera przywołuje historię zerwania trwającej blisko 25 przyjaźni między Iggorem Strawińskim i Ernestem Ansermetem. Kiedy ten drugi usiłuje ingerować w partyturę jednego z dzieł Strawińskiego, wybitny kompozytor poucza Ansermeta mówiąc, że „nie jest u siebie”, a swoje dzieło uważa za kompletne. Wszelkie zmiany, nawet w dobrej wierze, mają zdaniem kompozytora oszpecić utwór i sprawić, że nie będzie już kompletny, nie będzie w pełni jego. Szczęśliwie, znajomość Ilony Witkowskiej i Darka Foksa nie została zerwana, mimo że związana z Wrocławiem poetka dopisała – i to sporo – do jego oszczędnej w formie i treści „Suszy”. Książkę Foksa potraktowała jako zaproszenie do dialogu i jednocześnie filtr, przez który jesienią 2015 roku poznawała Pecz. Foks pisze, że nowe życie oznacza nowe wszystko, na co Witkowska odpowiada, że całkiem nowe, na przykład, były (...) *głosy bawiących się na placu zabaw dzieci, które stąd brzmią jak mewy. Rozmawiając z Foksem, czuje też zapach pigwy i dostrzeżga rozsypane po podwórku owoce (...) i smród spalin, który jest wszędzie i wypełnia te urokliwe uliczki, spowija szarozłotym w słońcu całunem całą dolinę. Jest też taniec, o piątej, w listopadzie, na tarasie kawiarni w Zsolnay, do melodii „pom – pom – fu”, natomiast po zmroku policja jeździ na sygnale, a młodzież śpiewa „Bella ciao”. W tej rozmowie między pisarzem a poetką poznajemy zarówno miasto, jak i samą autorkę. Choć dialog jest rozbudowany, Witkowska przypomina czytelnikowi, że *proza to sport ludzi samotnych.**

## Kurs symboli

Gdzie podziali się madame Curie, Reymont, Kopernik? Ci *ponadczasowi mistrzowie ducha zostali wygnani do numizmatycznego rajy*, a ich miejsce zajęli wielcy waleczni: Mieszko,

Chrobry, Jagiełło. Już nikt nie wyda nam Kopernika w sklepie; teraz w portfelu zamieszkały koronowane głowy. Takie symboliczne bitwy (lub bitwy na symbole) rozgrywają się w twórczości Józsefa Keresztesiego, którego gościliśmy we Wrocławiu wiosną 2016 roku. Choć była to jego pierwsza wizyta w naszym kraju, o Polsce wie sporo; potrafi dostrzec detale, które sami dawno schowaliśmy już na drugim planie. W jego poezji rolę przewodników spełniają zarówno Adam Mickiewicz, Tadeusz Różewicz, jak i Zbigniew Boniek czy Włodzimierz Smolarek (który w 1982 roku na Camp Nou doprowadzili sowietów do białej gorączki). Patrząc na Polskę przez okulary Mickiewicza, Keresztesi przekracza perspektywę romantycznych uniesień, dostrzegając w opus magnum naszego wieszca gorzką ironię. Widzi szlachciców, którzy żyją papierowym snem, a happy end „Pana Tadeusza” wcale nie jest taki szczęśliwy: *historia – niczym rozpaczliwie broniący się komar – lokuje samą siebie w powoli zastygającej żywicy ludzkiego czasu*. Czytając Różewicza zastanawia się, kim (lub czym) jest poeta. Czy jego głos to rzeczywiście *cieniutki włos, na którym trzyma się cała kula ziemiska*? I dlaczego poeta-Keresztesi, jak zapyta go pewien brodaty inżynier rolnictwa, nie napisze w końcu o kimś innym, zamiast pisać w kółko o literatach? Proszę bardzo, w poemacie „Projekt” powstaje pomnik, gdzie spotykają się bohaterscy piłkarze – Boniek i Smolarek, w towarzystwie bohaterów codzienności: elektryków, policjantów, stręczycieli czy kasjerek, a każda i każdy z nas może stanąć obok nich.

## Oswajanie pustki

*Osiemset osób, największy skarb kraju – wydział lekarski – stał się bezpieczny!* Front był coraz bliżej, dlatego zimą 1944 roku śmietanka naukowa największego Uniwersytetu Medycznego na Węgrzech zostaje ewakuowana do Niemiec, aby tam – jeszcze w miarę spokojnie – móc kontynuować swoją pracę. Wśród ewakuowanych znajduje się rodzina Károly’ego Méhesza: jego babcia, dziadek, ich córka i syn – przyszły ojciec pisarza. Podczas swojej tułaczki na krótko trafiają do Breslau, a babcia wszystkie przeżycia spisuje w dzienniku. Zapiski przetrwały dziejową zawieruchę i po 72 latach zamieniły się w swego rodzaju mapę dla Méhesza, który latem 2016 roku przyjechał na rezydencję artystyczną, aby na nowo odkrywać stolicę Dolnego Śląska. W tekście Károly’ego trafiamy do dwóch różnych miast: Breslau tuż przed tragedią zamiany w Festung, i do Wrocławia – jednej z największych i najbogatszych miejscowości w Polsce, Europejskiej Stolicy Kultury. Różni się prawie wszystko: w 2016 Károly i jego żona przyjechali komfortowym samochodem, w 1944 – Gyula Méhes z żoną i dwójką dzieci znaleźli się wśród osiemset osobowej grupy w zatłoczonym pociągu. Parkiet gimnazjum św. Elżbiety a wygodne, przestronne łóżka w apartamentowcu, zimowy chłód a upalne lato, wielka kuchnia, w której największym problemem są niedomykające się drzwi od lodówki a skromna fajerka, która musiała wystarczyć dla całej rodziny. Po latach, w wielu miejscach Breslau i Wrocław łączy już tylko pustka. *Na bazie tej „to-tal-nej pust-ki” muszę sfabrykować jakieś post-wspomnienia, ułożyć jakąś fabułę z tych skromniutkich informacji, które zapisała moja babcia*. Tak powstaje literacki dwugłos; zapiski z czasów przetrwania, ale też szczęśliwych chwil w wojennej zawierusze, przeplatają się z opowieścią z miasta otwartego, na nowo tętniącego życiem, które przetrwało próbę samobójczą z 1945 roku. Ostatecznie, oswajanie breslauerkiej pustki to także dopisywanie kolejnego rozdziału do historii rodzinnej Méheszów:

*Nie być zapomnianym. Czy to przez jeden dzień, czy też przez siedemdziesiąt długich lat.*

## **Korzystna konstelacja gwiazd**

W lipcu 2016 gwiazdy sprzyjały Kindze Keszthelyi. Choć przyjechała do Wrocławia tylko na dwa tygodnie, trafiła na jeden z najbardziej intensywnych momentów w kulturalnym kalendarzu miasta. Stolicę Dolnego Śląska umieściła na mapie miejscowości, w których człowiek chce się znaleźć, ale nie wie dokładnie, dlaczego. Jej krótki, lecz intensywny pobyt, to czas samotności oswojonej. Już od momentu podróży pociągiem, w drodze do Polski, nieustannie ktoś jej towarzyszy (lub ona towarzyszy komuś): najpierw księgowa australijskiej firmy telekomunikacyjnej, później – już w Polsce – inni artyści-rezydenci, znajomi z Polski, znajomi z Sarajewa, aż wreszcie towarzyszą jej filmy, które w ramach festiwalu „Nowe Horyzonty” wyznaczają rytm kulturalnego lata. W eseju, który znalazł się w tej książce, Keszthelyi zaznacza, że Wrocław od tego lata nie będzie dla niej już tylko pustą nazwą, ale *spotem przeżyć, twarzy, obrazów ludzkich losów. I to, że ten obraz wciąż na nowo napęlnia mnie energią, zawdzięczam wyjątkowo korzystnej konstelacji gwiazd.*

## **Nie ma kotletów. Jest seks**

Na pytanie „z czego nie potrafiłabyś zrezygnować” – zadane kiedyś przez psychologa podczas licealnych zajęć – Anka Herbut odpowiada „z samotności”. Listopadowy Pec w jej pamiętniku to osobista kraina samotności. Odnalezione w mieście widoki, dźwięki, zapachy czy sytuacje, których doświadcza, są punktami początkowymi dla prywatnych wycieczek po mapie wspomnień i spotkań z teraźniejszością. Rytm poszczególnych podróży wyznaczają między innymi kot, wizyty w najwolniejszej aptece w mieście i weekendowy seks sąsiadki – odgłosy z piętra wyżej zastępują tradycyjny polski hałas coniedzielnego tłuczenia kotletów na obiad. Czasem nie ma też siły na Pec, ma siłę tylko na siebie. *Samotność tutaj wygląda tak: coś jakby się stanęło na goło przed lustrem i się na siebie gapiło cały dzień. A potem by się szło i by się na siebie gapiło dalej, ale już bez lustra.*

Stanisław Abramik  
Koordynator Projektów Literackich  
Program Rezydencji Artystycznych A-i-R Wro

## **Pécs – Wrocław. A közös magány története**

A kölcsönös megértés legdemokratikusabb síkja: a magány.

A „PL:HU” c. könyv a Wrocław és Pécs közti, több mint egy éves irodalmi dialógus összefoglalása, egy öt hangra írt elbeszélés, melyek mind formájukra, mind tartalmukra nézve eltérnek egymástól, de közös nevezőt találnak a magányosságban. Nem szabad itt a magányosságban valami negatívumot látnunk; a magány itt egyfajta impulzusként vagy gyűjtőlencseként szolgál, amelyen keresztül a szerzők nem csak intenzívebben tapasztalják meg az új helyet, hanem erősebben tapasztalják meg saját magukat is. A Lengyelország és Magyarország közti irodalmi lakcímcseré több egy kölcsönös megfigyelésnél, ahol Pécs Wrocławra figyel, Wrocław pedig Pécsre. Ez mindenekelőtt egy olyan helyzet, melyben a látogatók mindegyikének lehetősége van meglátni magát az idegenségben, más kontextusok világában, a kulturális komfortzónán kívül.

A „PL:HU” az A-i-R Wro Művészeti Rezidencia Program” és a Pécs Writers Program közös történetének krónikája, az idegvezetői pedig az öt művész-látogató: Ilona Witkowska, Keresztesi József, Méhes Károly, Keszthelyi Kinga és Anka Herbut.

## **Itt nem otthon vagy, kedvesem**

Milan Kundera az „Itt nem otthon vagy, kedvesem” c. esszéjében felidézi az Igor Sztravinszkij és Ernest Ansermet közti 25 éves barátság megszakadásának történetét. Mikor

az utóbbi megkísérel beleavatkozni Sztaravinszkij egyik művének partitúrájába, a nagynevű zeneszerző kioktatja Ansermetet, mondván „nem otthon van”, a művét pedig késznek tartja. Minden, bármily jó szándékú változtatás a zeneszerző szerint elrontja a művet, és utána az már nem lesz egész, nem lesz teljesen az övé. Szerencsére Ilona Witkowska és Darek Foks ismeretsége nem szakadt meg, annak ellenére, hogy a wrocławai kötődésű költő hozzáírt – még hozzá elég sokat – Foks formailag és tartalmilag is takarékos „Szárzság”-ához. Foks könyvét párbeszédre való meghívásként értékelte, és egyben szűrőként, amelyen keresztül 2015 őszén megismerte Pécsset. Foks azt írja, hogy *egy új élet új mindent jelent*, amire Witkowska azt válaszolja, hogy *teljesen új volt, például (...) a játszótéren játszó gyerekek hangja, amely mostantól olyannak hangzik, mint a sirályoké. Foks-szal beszélgetve érzi a birsalma illatát is, és észreveszi az udvaron szétszórt gyümölcsöket (...) és a kipufogóbűzt, amely mindenhol ott van és betölti ezeket a hangulatos utcácskákat, a nap fényében szürke-arany lepellel borítva az egész völgyet. Ott van a tánc is, ötkor, novemberben, a Zsolnay kávézó teraszán, a „pom – pom – fiu” dallamára, sötétedés után pedig a rendőrség szírnázva-villogva hajt át a városon, a fiatalok meg a „Bella ciao”-t éneklik. Az író és a költő e beszélgetésében a várost és magát a szerzőt egyaránt megismerjük. Bár a párbeszéd terjedelmes, Witkowska figyelmezteti az olvasót, hogy a próza a magányos emberek sportja.*

## Szimbólumok kurzusa

Hová tűnt madame Curie, Reymont, Kopernikus? *A szellem ezen idő feletti mesterei a numizmatikai paradicsomába száműzettek*, helyüket pedig harcosok foglalták el: Mieszko, Vitéz Boleszláv, Jagelló. Többet nem kapunk vissza egy Kopernikust a boltban, a pénztárcánkba koronás fők költöztek. Ilyen szimbolikus csaták (vagy épp szimbólumokkal vívott csaták) köszönnek vissza Keresztesi József művészetében, akit 2016 tavaszán láttunk vendégül Wroclawban. Bár ez volt az első látogatása országunkban, sokat tud Lengyelországról; képes észrevenni a részleteket, amiket mi magunk már rég háttérbe toltunk. Költészetében ugyanúgy kísérelőkül szegődik Adam Mickiewicz és Tadeusz Różewicz, mint Zbigniew Boniek vagy épp Włodzimierz Smolarek (aki 1982-ben a Camp Nou-ban örületbe kergette a szovjeteket). Lengyelországot Mickiewicz szemüvegén át szemlélve, Keresztesi átlép romantikus emelkedettség perspektíváján, észrevéve nemzeti költőnk opus magnum-jában a keserű iróniát. Látja a papíralmot álmodó nemeseket, a „Pan Tadeusz” happy end-je pedig egyáltalán nem olyan boldog: *a történelem – akár a kétségbeesetten védekező szűnyog – saját magát helyezi el az emberi idő lassan kihűlő gyantájában*. Różewiczet olvasva azon gondolkodik, ki (vagy mi) is a költő. Az ő hangja tényleg az *a vékonyka szál, melyen az egész Földgolyó lóg?* És a költő Keresztesi, mint ahogy azt egy bizonyos szakállas agrármérnök megkérdezi tőle, vajon miért nem ír végre valaki másról, ahelyett hogy folyton az irodalomról írna? Tessék: a „Projekt” című versben megszületik egy szobor, ahol a hős labdarúgók – Boniek és Smolarek – találkoznak a mindennapok hőseivel: villanyzerelőkkel, rendőrökkel, kerítőkkel vagy pénztárosnőkkel, és bármelyikünk odaállhat melléjük.

## Az üresség megszelídítése

*Nyolcszáz fő, az ország legnagyobb kincse – az orvostudományi kar – hontalan lett!* A front egyre közelebb került, ezért 1944 telén a legnagyobb magyar orvosi egyetem tudományos krémje evakuálásra kerül Németországba, hogy ott – még viszonylagos nyugalomban – folytatni tudja munkáját. Az evakuáltak közt van Méhes Károly családja: nagymama, nagypapa, valamint lányuk és fiuk – az író későbbi apja. Számkivetésük során rövid időre Breslauba is eljutnak, a nagymama pedig minden élményüket feljegyzi a naplójába. A feljegyzések túléltek a történelem viharait, és 72 év elmúltával egyfajta térképpé váltak Méhes számára, aki 2016 nyarán ideutazott művészi látogatásra, hogy újra felfedezze Alsó-Szilézia fővárosát. Károly szövegében két különböző városba jutunk el: az épp a Festung-gá nyilvánítás tragédiája előtt álló Breslauba, és Wrocławba – Lengyelország egyik legnagyobb és leggazdagabb városába, Európa Kulturális Fővárosába. Majdnem minden eltér: 2016-ban Károly és felesége kényelmes autóval érkeznek, 1944-ben Méhes Gyula feleségével és két gyerekével egy nyolcszáz fős csoportban találták magukat egy zsúfolt vonaton. A Szent Erzsébet Gimnázium parkettázott padlója és a kényelmes, tágas ágyak az apartmanházban, téli hideg és forró nyár, hatalmas konyha, amelyben a legnagyobb problémát a hűtőszekrény rosszul záródó ajtaja okozza, és a szerény sparthert, amely az egész családnak elegendő kellett legyen. A sok hosszú év elteltével sok helyen már csak az üresség köti össze Breslaubot és Wrocławot. *E „to-tá-lis ü-res-ség” alapján vagyok kénytelen összetákolni valamiféle poszt-emlékeket, összerakni valamiféle történetet ezekből a szerény kis információkból, amiket a nagymamám feljegyzett.* Így is egy irodalmi duett jön létre; a túlélés korában, de a háborús káoszban is jelen lévő boldog pillanatokban is született jegyzetek összefonódnak a nyitott, újra élettel teli város meséjével, amely túlélte az 1945-ös öngyilkossági kísérletet. Végso soron a breslaui üresség megszelídítése sem más, mint egy újabb fejezet hozzáírása a Méhesek családi históriájához: *Nem elfelejtetni. Akár csak egy napig, akár hetven hosszú éven át.*

## Kedvező csillagállás

2016 júliusában a csillagok kedveztek Keszthelyi Kingának. Bár csak két hétre érkezett Wrocławba, a város kulturális naptárának egyik legintenzívebb pillanatába talált bele. Alsó-Szilézia fővárosát felhelyezte azon helységek térképére, *amelyekbe az ember el akar jutni, csak nem tudja pontosan, hogy miért.* Rövid, de intenzív itteni tartózkodása a megszelídített magány ideje. Már a vonaton történő utazás pillanatától, útban Lengyelország felé, folyamatosan mellé szegődik valaki (vagy épp ő szegődik valaki mellé): először egy ausztrál telekommunikációs cég könyvelője, később – már Lengyelországban – más idelátogató művészek, lengyel ismerősök, más ismerősök Szarajevóból, végül pedig a filmek szegődnek mellé, melyek az „Új Horizontok” fesztivál keretében megadják a kulturális nyár ritmusát. Az esszében, mely ebbe a könyvbe került, Keszthelyi megjegyzi, hogy Wrocław



e nyártól kezdve nem lesz számára csupán puszta név, hanem élmények, arcok, képek, emberi sorsok összefonódása. *És azt, hogy ez a kép újra és újra energiával tölt fel, a csillagok kivételesen kedvező együttállásának köszönhetem.*

## **Nincs rántott hús. Szex van**

A kérdésre, hogy „miről nem tudnál lemondani” – melyet egy pszichológus tett fel egy gimnáziumi foglalkozás során – Anka Herbut azt válaszolja: „a magányról”. A novemberi Pécs az ő naplójában a magány sajátos országaként tárul fel előttünk. A városban talált látképek, hangok, illatok vagy megtapasztalt helyzetek kiindulópontokat jelentenek az emlékek és a jelennel való találkozások térképén tett privát kirándulásokhoz. Az egyes utazások ritmusát többek közt egy macska, a város leglassúbb patikájában tett látogatások és a szomszéd nő hétvégi szexuális kalandjai szabják meg – az egy emelettel feljebbről érkező hangok felváltják az ebédre szánt hús klopfolásának hagyományos lengyel zajait. Időnként nincs is ereje Pécshez, csak saját magára van ereje. *A magány itt így néz ki: mint-ha megállnál a tükör előtt meztelenül, és bámulnád magad egész nap. Aztán meg mennél és tovább bámulnád magad, de már tükör nélkül.*

Stanisław Abramik

Az Irodalmi Programok Koordinátora

A-i-R Wro Művészeti Rezidencia Program

**Ilona Witkowska**

## ***Nowe życie oznacza nowe wszystko.***

Całkiem nowe, na przykład, były

1. dźwięki:

- głosy bawiących się na placu zabaw dzieci, które stąd brzmią jak mewy, dopełniane przez szum przejeżdżających samochodów, jak fale;
- dobiegające z dżipa dźwięki opery;
- ten ktoś, kto codziennie ćwiczy na pianinie na mojej ulicy;
- dźwięki szkoły, na ulicy Marii – naraz śpiewy, instrumenty, szuranie, krzyki i śmiech;
- „dla Elizy” jako dźwięk domofonu w jednym z bloków nad Zsolnay (które to bloki, nie wiedzieć czemu, wydają mi się tutaj bardzo atrakcyjne);
- sentymentalna muzyczka z samochodu starszego pana, który wysiadał a za nim wysiadał jeszcze pies, dzięki czemu słysząc ją było dłużej; to była muzyczka w ten zachód słońca – piekło i to połączenie było aż za piękne; chciałam zapytać, co to, żeby móc słuchać w domu węgierskich sentymentalnych szlagierów, ale nie zapytałam;
- Zbigniew, grający na organach w białym kościółku na wzgórzu – zapytał o pozwolenie na migi i na migi udzielono mu zgody; to nie było nic religijnego

**Lubię zadawać się z ludźmi z drużyny A**, dlatego moją uwagę zwrócił ten właśnie mężczyzna: miał na sobie ekstrawagancki, niby kowbojski płaszcz i dobrze szedł, miał dobry krok.

Postanowiłam pójść za nim, pewna, że człowiek, który tak wygląda, pójdzie do miejsca, które mi się spodoba.

Stało się inaczej. Poszedł do miejsca takiego samego, jak wszystkie inne. Ale i tak poszłam za nim. W końcu tylko on zwrócił moją uwagę w tym dniu w tym mieście. Usiadłam kilka stolików dalej, zamówiłam wino i paliłam papierosy. On rozmawiał przez telefon po niemiecku. Wyobraziłam sobie, jak podchodzę do niego i mówię: I'm here, because I followed you. I followed you, because I liked your coat. A potem upijamy się straszliwie, czy raczej on mnie straszliwie upija i budzę się rano w jego mieszkaniu, wyruchana i zdezorientowana. Natychmiast to zapisałam. Jednocześnie uświadomiłam sobie, że proza to sport ludzi samotnych. I potem podeszłam do Niemca.

## ***Może od tej chwili zmienię styl.***

Przyjechałam tu w dniu, w którym dyrektor miejscowego zoo zastrzelił wilka,  
który dzień wcześniej przeskoczył czterometrowy płot i uciekł w lasy.  
Mam tylko nadzieję, że był przez moment szczęśliwy.  
Przez to pół dnia, kiedy był wolny.

W międzyczasie w Brazylii zabili rzekę.  
Widziałam, jak ludzie płaczą,  
wyciągając z toksycznego błota  
olbrzymie, martwe ryby.

***Jakiś filmik, może dwa.***

[https://www.youtube.com/watch?v=\\_TwTREEQ10w](https://www.youtube.com/watch?v=_TwTREEQ10w)

<https://www.youtube.com/watch?v=7Qb9NFMFMss>

## ***Samolot toczył się po pasie, aż wreszcie zatrzymaliśmy się z dala od głównego terminalu.***

Wyszłam, zabrałam bagaż, zapaliłam. Teraz jedziemy. Jest piąta trzydzieści i jest całkiem ciemno. Pan, który mnie wiezie, powiedział mi, że jest Internet i nie rozmawiamy. Dwanaście godzin temu byłam jeszcze w pięknym mieszkaniu na Borku, z moim chłopakiem i z cudzym kotem i było mi bardzo dobrze. Po drodze spotkałam aż trzy osoby: najpierw jedna z trzech inteligentnie wyglądających lesbijek w Charlotte poprosiła mnie o numer telefonu; tak dawno nikt mnie tak po prostu nie podrywał, że powiedziałam, że jasne i – jeśli kiedyś tak się złoży – z chęcią pójdę z nią na kawę; potem, w palarni na lotnisku, rozmawiałam z astronomem o fatalnym poziomie polskiej edukacji wyższej, dietności, kultury ruchu drogowego i – ogólnie – stosunków międzyludzkich; polecał mi też posłuchać, jak Marek Kondrat czyta w dwójce o 19.00 „Mistrza i Małgorzatę” (jest też do odsłuchania w archiwum) i serial rosyjski z 2005, też „Mistrza i Małgorzatę”, z wyjątkowo urzekającym, starym i zmęczonym Wolandem; następnie, w samolocie, ani razu nie spojrzałam przez okno, bo całe 50 minut lotu zajął mi pan Jacek, produkujący w Budapeszcie programy telewizyjne (czy radiowe?), który ma siedemnastoletnią córkę Martę, weganę i sam przeszedł na wegetarianizm i bardzo mu z tym dobrze; mówiliśmy o tym samym, co z astronomem, minus dietność, plus kibole (Kraków, miasto nożowników) plus trochę o Węgrzech i Węgrach (pan Jacek się zna, bo długo tu pracuje) typu cechy narodowe, historia itp., z pominięciem możliwych tematów zapalnych.

Warszawa była całkiem pusta, bo to święto zmarłych, i po ulicach chodzili ci, których na co dzień nie widać.

No i jestem tu, jadę w ciszy. Myślę, jak to muszę zadzwonić: do mamy, do chłopaka, do Karoly’ego (jak to się odmienia i czy w ogóle?); nigdzie nie dzwonię. Jadę, nic nie muszę. Jest bardzo, bardzo ciemno. Internet działa.

### ***Chcę również dodać, że prognoza pogody na ten tydzień jest doskonała.***

Panuje upał, choć to połowa listopada. Ludzie jedzą lody i wysiadują na ławkach, porozbie-rani. Minęłam dzisiaj całą dosłownie wycieczkę starszych pań, kupujących lody; te w kolejce były podekscytowane, a te, co już kupiły – szczęśliwe. Brały po trzy gałki!

Owady i motyle latają w słońcu, towarzyszy im babie lato, jak długie, białe ryby, płynące pod prąd. Jest całkiem porządne lato, tylko ściemnia się bezsensownie w tych warunkach wcześniej – koło piątej.



## ***Zalogowałem się do mojej poczty i napisałem list:***

Cześć. Piszę do Ciebie, siedząc pod meczetem. Pomyślałam, że Ci się spodoba.

(...)

Pisz do mnie! Tak lubię czytać Twoje listy. Brakuje mi obcowania z pięknym a prywatnym tekstem, piękną, staranną wypowiedzią drugiego człowieka, z tym kunsztem rozmowy pisanej, wiesz, o co chodzi. Opowiadaj, co u Ciebie! Jestem bardzo ciekawa. Mam nadzieję, że coraz lepiej i lepiej i te zgliszcza, co oboje je mamy w sercach zarosną sobie równomiernie zieloną trawką i krzewinkami. Tego Ci w ostatnich słowach mojego listu życzę. A i sobie.

### ***Bardzo romantyczne:***

mój chłopak nagrał i wystął mi  
„pom – pom – fiu”,  
które nucił mi, kiedy tańczyliśmy na tarasie kawiarni w Zsolnay  
nie wiedząc, co ze sobą zrobić  
o piątej  
w listopadzie  
w Peczu

pom – pom – fiu  
pom – pom – fiu

## ***Chyba odpłynęłam.***

Wczoraj o 16.30 widziałam nieziemski zachód słońca.  
Mówię ci, w jednym miejscu nad horyzontem – istne piekło.  
Stałam i patrzyłam  
urzeczona. A w zasadzie bardziej stosownie byłoby:  
zahipnotyzowana.

## **Zrobiło się późno.**

Ciemno i zimno.

Strasznie tu co wieczór policja jeździ i wyje syrenami.

Ale akurat dzisiaj do syren dołączyła grupa młodych ludzi, śpiewając „Bella ciao”.

## ***Nastąpiło długie milczenie.***

Nie pamiętam, żebym w całym życiu była przez cały miesiąc całkiem sama. Od razu biorę długą kąpiel w wielkiej wannie i kąpiąc się, oglądam film. Studio filmowe Kadr ma kanał na youtube, na którym można oglądać stare polskie filmy. Oglądam „Pociąg”. Ileż to historii zaczyna się w pociągu: „Salto”, o ile pamiętam, także „Czarodziejska góra” i chyba cała książka opowiadań Munro.

Nie obejrzałam do końca. Wolę czytać mrozące krew w żyłach artykuły o polityce. Dźwięki nowego mieszkania zagłuszam sobie muzyczką <https://www.youtube.com/watch?v=DWGjYg2LmZQ>. Mam maleńki tarasik, na tarasiku – truskawki w doniczce.

Całymi dniami nie mówię nic do nikogo.

**Przepraszam**, zapomniałam o jeszcze jednym zdarzeniu: na tyłach centrum handlowego spotkałam tę kobietę: ja po jednej stronie ulicy, ona – po drugiej. czerwone. popatrzyłyśmy sobie w oczy, uśmiechnęłyśmy się do siebie i przeszłyśmy, dając sobie nawzajem pozwolenie na to przekroczenie, na to złamanie zasad, czując się lekko i radośnie, czując się świetnie.

## ***Naciągnąłem prześcieradło na głowę. śniło mi się:***

1. jechałam autostopem i zatrzymał się jakiś starszy pan, który w trakcie snu zrobił się podobny do Philipa Seymoura Hoffmana i maniakalny; przywiózł mnie do domu na Pomorskiej, ciągle mówił i zabrał mnie na odtworzenie jakiegoś działania artystycznego, w którym brałam już udział, do Poznania; no i odtwarzamy, a ja do jakiejś laski mówię; ej, nie pamiętam, że to robiłam już kiedyś, że w ogóle brałam udział w tym festiwalu, a ona: cicho, bo cię usłyszą. potem, że wszystkimi tymi ludźmi (ale co to byli za ludzie, nie wiem) oglądaliśmy reklamę, w której morderca grał kota.

2. najpierw, oczywiście, śniło mi się jakieś mieszkanie i dwie kobiety ale potem gdzieś poleciałam do ciepłego kraju i spotkałam tam A. W. w kuchni mojego wujka i dał mi wielką torbę trawy i poznałam historię dzika olbrzyma buszującego po mieście; dorośli mężczyźni chcieli go – oczywiście – zabić, ale dwie dziewczynki, siostrzyczki, postanowiły przyjąć go po królewsku: wspaniały czerwony satynowy namiot i winogrona. wydaje mi się, że zginęły, ale ja musiałam już szybko, szybko wsiadać do takiego malutkiego samolotu i polecieliśmy na plażę, bo to były wakacje zorganizowane – piaseczek był bielutki; była jakaś burza, czy coś i zostało po niej w mieście pełno dzikich zwierząt, zwłaszcza czarnych panter; siedziały na przystankach autobusowych, obok dzieci jedzących niebieskie lody, na murkach. a w morzu był wąż morski albo wiele takich samych, pięknych ryb. chciałam pokazać to komuś, ale porwała mnie fala i wyrzuciła ze zwykłą, srebrną rybą na kolanach.

## **Przepraszam, ale Pecz rozpadł mi się na poszczególne**

### 1. zapachy:

- zapach szynki z hotelu, o którym nie można powiedzieć do końca, czy jest czynny czy nieczynny;
- zapach papierosów, palonych w chłodnym powietrzu ulicy (śliczny!);
- zapach jedzenia, kiedy mija się knajpę, tłuszcz, zawsze, każda knajpa pachnie jak langosz; czasem ten zapach dociera niespodziewanie daleko – jak w tym miejscu, gdzie stoi drewniana altanka, przy drodze do przystanku Ilonki;
- zapach pieczywa, na każdej ulicy, z każdej piekarni, oszałamiający!
- zapach pigwy, rozsypane po podwórku owoce, ruina, zaraz pod kościółkiem z obrazka;
- tajemniczy zapach czegoś cytrynowego z dzieciństwa, w ciemnej, pustej uliczce Józefa, dzień po pełni
- zapach palonych liści i gałęzi, zapach jesieni; ale też zapach palenia w piecach tym, czym nie powinno się palić, gównem, u nas się zawsze mówi „oponami”;
- i smród spalin, który jest wszędzie i wypełnia te urokliwe uliczki, spowija szarozłotym w słońcu całunem całą dolinę; czuć go tym mocniej, im więcej czasu spędzam na górze, na Tettye, tam go nie ma, codziennie chodzę tam oddychać



***Byle do przodu, do przodu, do przodu.***

codziennie na wzgórze,  
codziennie po Tetyse,  
codziennie w te wąskie uliczki.  
zaglądać w te okna,  
oglądać te firanki, te pelargonie, te drzwi, furtki, ostrzeżenia przed groźnymi psami.

potem już tego nie będzie.

## ***Ekspozycja ciągnie się bez końca:***

- to ja, w cienkiej bluzeczce w połowie listopada odbijam się w drzwiach meczetu;
- to ja, odbijam się w kiosku, w tej samej bluzeczce; za mną posąg konny tyłem, chciałam, żeby cały się zmieścił, dlatego zdjęcie jest skosem;
- to ja, odbijam się w drzwiach gabinetu kosmetycznego dla psów; strasznie się darty, dlatego podeszłam i odkryłam lustro;
- to ja, w ruinach a słońce robi wokół mojej głowy miliony maleńkich tęcz;
- to ja, a za mną dziwny Jezus, zdjęcie nieostre, niebo niebieskie;

a tu mnie nie ma, jest ta pani, w bluzce z krótkim rękawkiem, podciągnęła spodnie do kolan, bluzkę – do piersi, odstoniła łydki, odstoniła brzuch i położyła się na ławce, drzemie w tym niesłychanym listopadowym słońcu, w czystym powietrzu Tettye; siedziałam nad nią na murku i bardzo, ale to bardzo chciałam jej zrobić zdjęcie, ale mój telefon właśnie się rozładował, więc pozostało mi ją opisać, tak samo jaszczurkę, która mignęła w trawie akurat w tym momencie, w którym spojrzałam, mignęła dla mnie, taka maleńka i jeszcze motyl, cytrynowy z wierzchu i pomarańczowożółty jak nagietek w środku



## ***Az új élet mindenben új***

Például teljesen újak voltak

1. A hangok:

- A gyerekek hangja a játszótéren, olyan, mint a sirályoké, amelyet az elhaladó autók zúgása egészít ki, mintha hullámzást hallanék;
- Opera hangjai egy dzsipből
- aztán valaki, aki az utcában naphosszat gyakorol a zongorán;
- Az iskolából kiáradó hangok kavalkádja a Mária utcában, – ének, hangszerek, lábdobogás, csoszogás, kiabálás és nevetés;
- a „Fürelize” dallama az egyik Zsolnay Negyed körüli panelforma társasház kaputelefonján (nem tudom miért, ezek a panelszerű házak felettebb királyul néznek ki);
- egy idősebb pali kocsjából kiszűrődő szentimentálisan takonynyálás zeneszó. A pasas kiszállt, aztán utána kiugrott a kutyája is, ennek köszönhetően hosszabb ideig állt módomban hallgatni. Ez a zene maga volt a pokol az aznapi napnyugtához, és ez a kettősség már-már több mint szép volt; majd nem úgy voltam, hogy megkérdezem, mi volt ez, hogy otthon is hallgathasak szentimentális magyar gagyiszámokat, de végül nem kérdeztem meg;
- Zbigniew kézzel-lábbal mutogatva kért engedély, hogy a dombon álló kis fejér templomban orgonálhasson. Megkapta. Nem volt ebben semmi vallásos izé.

## **Szeretem a Szupercsapat szereplőit,**

Ezért is keltette fel a figyelmemet pont ez a pasas: extravagáns, már-már cowboy-szerű kabátot hordott, és szépen járt, gyönyörűen lépkedett.

Elhatároztam, hogy utána megyek, mert biztos, hogy aki így néz ki, olyan helyre megy, ami nekem is tetszik.

Máshogy alakult. Pont ugyanoda ment, ahova mindenki más is. De én még így is csak mentem utána.

Végül egyedül ő keltette fel a figyelmemet aznap és azon a helyen. Néhány asztallal odébb ültem, bort rendeltem és cigiztem. Ő németül beszélt valakivel telefonon.

Elképzeltem, hogy odamegyek hozzá, és így szólok: I'm here, because I followed you. I followed you, because I liked your coat. Aztán leisszuk magunkat a sárga földig, pontosabban ő itat le engem, majd reggel szétkefélve és másnaposan ébredek fel a lakásában. Ezt rögtön le is írtam. Közben tudatosítottam magamban, hogy a próza a magányos emberek sportja, így aztán odamentem a némethez.

## ***Lehet, hogy mostantól stílust váltok***

Aznap érkeztem meg, amikor a helyi állatkert igazgatója kilőtte a farkast, amely egy nappal korábban átugrotta a négy méter magas ketreccácsot és beszaladt az erdőbe. Csak remélni tudom, hogy egy pillanatra boldog volt. Fél napig, amikor szabad volt.

Közben Braziliában megmérgezték egy folyót.  
Láttam, ahogy az emberek zokognak,  
miközben a mérgezett sáros léből  
méretes haltetemeket húztak ki.

## ***Valamiféle film, vagy kettő***

[https://www.youtube.com/watch?v=\\_TwTREEQ10w](https://www.youtube.com/watch?v=_TwTREEQ10w)

<https://www.youtube.com/watch?v=7Qb9NFMFMss>

## ***A repülőgép a a leszállópályán gurult aztán végre megálltunk, jó messze a termináltól.***

Kiszálltam, elmentem a csomagomért, rágyújtottam. Most már a kocsiban utazom. Fel lehet van, és töksötét. Az úr, aki levisz engem, azt mondta, hogy van internet, és nem beszélgetünk. Tizenkét órával ezelőtt még abban a gyönyörű lakásban voltam a Boreken, a pasimmal és a csodapofa cicával, és ott nagyon jó volt. Útközben összesen három emberrel találkoztam: először a Charlotte-ban belefutottam három intelligensnek tűnő lesbibe; az egyik elkérte a telefonszámomat. Már olyan régen nem akart senki sem ilyen keresetlen egyszerűséggel felszedni, hogy megadtam neki, és azt is mondtam, hogy – ha egyszer úgy alakul – szívesen megiszom vele egy kávét. Aztán a repülőtéri dohányzóban egy csillagással beszélgettem a lengyel felsőoktatás végzetes állapotáról, a gyerekvállalásról meg az autóvezetési kultúráról, valamint – általánosságban – az emberi kapcsolatokról. Javasolta, hogy hallgassam meg, hogy olvassa Marek Kondrat a Mester és Margaritát este hétkor a Kettesen (meghallgatható a rádió archívumából), meg hogy nézzem meg a regényből készült 2005-ös ruszki sorozatot, a kivételesen házsártos, öreg és megfáradt Wolanddal. Végül a repülőn még az ablakon sem tudtam kinézni, mert a repülés teljes ötven percében egy Janek névre hallgató alak tartott szóval, aki televíziós (vagy rádiós) műsorokat készít Budapesten, s akinek van egy tizenhét éves, Márta nevű lánya, aki vegán, és hogy Janek maga is áttért a vegetarianizmusra, és azóta nagyon jól van. Ugyanarról dumáltunk, mint a csillagással, mínusz gyerekvállalás, plusz kopasz futballhuligánok (Krakkó, a fegyveres rablóbandák városa), plusz egy kevés Magyarország és magyarok (Janek képben van, mert hosszú ideje itt dolgozik), a nemzeti karakterük, a történelmük stb., kerülve az esetleg kényesebb témákat.

Varsó teljesen kiürült, mert halottak napja van, és az utcákon azok járkáltak, akiket hétköznapi nem látni.

És most itt vagyok, és csöndben utazom. Azt hiszem, telefonálnom kellene: anyunak, a pasimnak, Károlynak (most Károj, vagy Károli? és egyáltalán: hogy ragozzam?); aztán nem telefonálok senkinek. Csak utazom, és nincs semmi, ami muszáj lenne. Szörnyű nagy a sötétség. Az internet működik.



## ***Hozzátenném még, hogy igen kellemes időt jósolnak erre a hétre.***

Hőség van, bár november közepén járunk. A népek fagyznak és panyókára vetett kabátban üldögélnek a padokon. Ma egy egész nyuggercsapatot láttam, csupa idősebb nőt, fagyíért álltak sorba. Sorban állás közben némi feszültség látszott rajtuk, utána boldogság ragyogta be az arcukat. Mindegyikük három gombóccal távozott.

Bogarak és lepkék repkednek a napfényes vénasszonyok nyarán, olyanok, mintha hosszú, a kandeláberek fényében úszó fehér halak lennének. Tiszta nyár van, csak tekintve a fenti körülményeket, értelmetlenül korán sötétedik, úgy öt körül.

## ***Beléptem az e-mail-fiókomba, és levelet írtam:***

Szia. A mecset előtt ülve írok Neked. Úgy gondoltam, hogy ez Neked is tetszene.

(...)

Írjál! Annyira szeretem olvasni a leveleidet. Hiányzik, hogy szép és nekem szóló leveleket olvassak, egy másik ember kedves és határozott mondatait, az írott beszélgetés művészetével, tudod jól, miről van szó. És mondd, mi újság Veled? Nagyon kíváncsi vagyok. Remélem, hogy minden egyre csak jobb lesz, s hogy a szívünk mélyén éktelenkedő kiegészítő romokat egyre vastagabban növi be majd a fű és cserje. Ezt kívánom Neked levelem utolsó szavaival. Meg magamnak is.

### ***Feletébb romantikus:***

A pasim felvette és elküldte nekem

A „pom – pom – fiu”,

Akkor is azt dúdolta, amikor a Zsolnay Negyed kávézójának teraszán táncoltunk,

Nem tudva mit kezdeni magunkkal

Ötkor,

Novemberben,

Pécsett.

pom – pom – fiu

pom – pom – fiu

## ***Talán elszálltam,***

Tegnap 16.30-kor földöntúli naplementét láttam.

Hallod, egy ponton a horizont fölött ott volt az igazi pokol.

Ámultam és bámultam, mint akit megbabonáztak, bár erre a helyzetre inkább az illene, hogy mint akit meghipnotizáltak.

## ***Későre jár.***

Sötét van és hideg.

Szörnyű, hogy itt a rendőrség minden este szirénázva furikázik.

De épp ma este a szirénahangba fiatalok hangja vegyült, akik a Bella Ciao-t énekelték.

## ***Hosszú hallgatás következett.***

Nem emlékszem, hogy lettem volna valamikor életemben egy hónapig teljesen egyedül. Már is hosszú fürdőt veszek, és fürdés közben a nagy kádban filmet nézek. A KADR filmstúdióknak van egy csatornája a Youtube-on, amelyen régi lengyel filmek mennek. Az Éjszakai vonatot nézem. Hány ilyen hasonló történet kezdődik vonaton: a Szaltó, ha jól emlékszem, meg a Varázshegy, és talán Munro összes elbeszélése is.

Nem néztem végig. Arra vágyom, hogy vérfagyasztó politikai újságcikkeket olvassak. Az új lakás zörejeit zenével nyomom el: <https://www.youtube.com/watch?v=DWGjYg2LmZQ>. Van egy kis teraszom, a teraszon cserepes eper. Napokon keresztül nem beszélek senkivel.

## **Bocsánat,**

Még egy momentum, amelyről megfeledkeztem: a bevásárlóközpont háta mögött szembe találok egy nővel: én az utca egyik oldalán, ő a másikon. A lámpa piros. Egymás szemébe néztünk, egymásra mosolyogtunk, aztán ezzel a gesztussal kölcsönösen engedélyezve az átkelést, a szabályok megszegését, átmentünk az úton. Nagyszerű volt. Könnyűnek és felszabadultnak éreztük magunkat.

## ***Bebújtam a takaró alá, és álmodtam:***

1. Stoppoltam, felvett egy idősebb faszi, aki álomban mániákus volt, és Philip Seymour Hoffmannra hasonlított. Hazavitt magához valahova Pomerániába, egyfolytában lökte a sódert, majd elcipelte Poznańba, valamilyen művészeti fesztivál megnyitójára, amelyen már korábban részt vettem. És aztán megnyitjuk, én meg valami csajszival beszéllek; ajaj, nem emlékszem, hogy részt vettem volna korábban ezen a fesztiválon, mondom, ő meg erre: csitt, még meghallják, utána meg az összes ott levővel (nem tudom, miféle emberek voltak), egy reklámot néztünk, amelyben egy gyilkos játszotta a macskát.

2. Először, természetesen, egy lakásról álmodtam és két nőről, de később elrepültem valamilyen melegebb országba, és ott összefutottam A. W.-vel a bácsikám konyhájában, aki adott egy nagy zacskó fűvet, és megismertem a városban törve-zúzva garázdálkodó vad óriásról szóló történetet; a felnőtt férfiak – természetesen – megakarták ölni, de két kislány, lánytestvérek, elhatározták, hogy fejedelmi módon fogadják; pompás skarlátvörös selyemsátor és szőlő. Azt hiszem, odavesztek, de szélsébesen be kellett szállnom egy kicsi repülőbe, és elrepültünk a tengerpartra, ahol csoportos nyaraláson vettem részt – hófehér homok; volt valami vihar, vagy ilyesmi, és utána csak vadállatok maradtak a városban, főleg fekete párdacok; a buszmegállóban ültek, gyerekek mellett, akik kék fagyit nyaltak a falon ülve. A tengerben meg tengeri kígyó volt, vagy sok más, gyönyörű hal. Meg akartam mutatni őket valakinek, de felkapott egy hullám, és partra vetett, egy egyszerű ezüstszerű snecivel a térdemen.



## ***Ezer bocsánat, de nekem Pécs különböző***

illatokat és szagokat jelent:

- A sonka illata a hotelban, amelyről nem lehet száz százalékos biztonsággal megállapítani, hogy nyitva van-e vagy zárva;
- Az utca hideg levegőjén elszívott cigaretta illata (isteni!)
- Az ételek illata, amikor elhaladok a kocsmák mellett: minden kocsmá lán gosszagú; időnként ezt az illatot már meglepetésemre messziről megérezem, mint azon a helyen, ahol a fa kerti lugas áll az Ilonka pihenő felé vezető úton; A kifli és zsemlye pékségekből kiáradó illata az utcákon. Őrjítő!
- A birsalma, a kertekben meg a fényképen látható templom alatti romok közt szerteszét heverő lehullott gyümölcs illata;
- Valamiféle titokzatos, citromos illat a gyerekkoromból a sötét, üres József utcán a telihold utáni napon
- Az elégett levelek és ágak illata, az őszi illata; de egyben a kéményekből áradó szaga annak, amit nem kellett volna elégetni, amit mifelénk csak egyszerűen téliguminak hívnak.
- És a kipufogógáz bűze, amely ott van mindenütt, és beteríti az elbűvölő kis utcákat, és a napsütésben sárgásszürke halotti lepellel takarja be az egész völgyet; annál jobban érzem, minél több időt töltök fenn a Tettyén, ahova már nem ér fel. Nap mint nap oda járok lélegezni;

## ***Előre, előre, előre,***

Minden nap fel a hegyre,

Minden nap a Tettyére

Minden nap a szűk utcácskába,

Hogy belessek az ablakokon,

Megnézzem a függönyöket, a muskátlikat, az ajtókat, a kapualjakat,

a harapós kutyákra figyelmeztető táblákat.

Mert ilyen később már nem lesz.

## **Szünet nélkül kattog a fényképezőgép:**

- Ez én vagyok, november közepén vékony blúzban a mecset kapujában szelfizek;
- Ezen is én vagyok, az újságosbódénál fényképeztem le magam ugyanabban a blúzban. Mögöttem háttal egy lovaskocsi, szerettem volna, ha ráfér a képre, ezért kivágtam egy részt a képből;
- És ezen is én vagyok, egy kutyakozmetika kapujában kaptam le magamat; a kutyák iszonyatosan vonyítottak, így aztán odamentem, és megláttam a tükröt;
- Ismét én, a romok között, a nap ezer és ezer kis szívárványt hozott létre a fejem körül;
- És megint én, mögöttem egy fura Krisztus, a kép homályos, az ég kék;

Ezen nem vagyok rajta, a képen egy nő, rövid ujjú blúzban, térdig felhajtott nadrágban, a blúz a melléig felhúzva. Lehevert a padra és a tiszta levegőjű Tettyén napozott a novemberi nyárban, süttette a hasát és a vádliját. Ott ültem felette a kőfalon, és nagyon, de nagyon le akartam fényképezni, de a telefonom éppen lemerült, így csak leírni tudom a látványt, ugyanúgy, mint a kicsiny gyíkokscát, amely ott aranyzöldes fényben ragyogott a fűben, és odabólogatott nekem, amikor megláttam, meg a citrom- és narancssárga hátú és szárnyú lepkét, meg a pitypangot.

**József Keresztesi**

15 kwietnia, Wystawa starych i nowych banknotów polskich w Muzeum Miasta  
Wrocławia

## **O pożytku i szkodzie symboli dla historii**

Gdzie jest dziś Madame Curie,  
gdzie Chopin, ten człowiek targany wichrami historii?

Gdzie jest Wyspiański, Kopernik,  
gdzie Reymont i gdzie Staszic?

Na banknotach Polskiego Banku Narodowego

ich miejsce zajmują dziś surowi z profilu

świadomi władcy, koronowane głowy,

wirtuosi potężnych walk,

jak nakazywał duch dziejów,

a ponadczasowych mistrzów ducha

wygnano do numizmatycznego raj.

Oczywiście narodowa waluta

ani na tym nie zyska, ani nie straci,

bo nigdy wartość pieniądza nie jest symboliczna.

Kurs symboli to za każdym razem

coś innego.

Umiabym sobie wyobrazić łagodniejszą zmianę warty:

równoległą i głębszą niż dzisiejsza

W takiej rzeczywistości, gdzie na przykład

między sprawnymi palcami kasjera w supermarkecie

migałyby szybko przejmujące portrety Witkacego.

## **Zapiski na marginesie Pana Tadeusza (cień pewnego eseju)**

Cała sala teatralna przekształcona została w salę szpitala psychiatrycznego, widzów traktowano jako chorych – każdy widz z osobna był tak traktowany – wreszcie nawet lekarze, tj. aktorzy, byli uważani za chorych, wszystko zachorowało na wielką chorobę pewnej epoki, pewnej cywilizacji, czy raczej opętane zostało przez tradycję.

Jerzy Grotowski, *Teatr a rytuał*

I

Puste miejsce przy stole obok Tadeusza,  
od razu, w pierwszej księdze,  
podczas kolacji w ruinach:

to puste miejsce, które sekretnie zniewala umysł,  
i które – jak pisze Mickiewicz – „już nie jest puste,  
bo on je napełnił myślami,  
po tym miejscu biegało domysłów tysiące” ---

To jest to puste miejsce, które później  
zajmuje Telimena, soplicowska femme fatale,  
niegdysiejsza petersburska metresa,

i którą głupiutki Tadeusz myli z ujrzaną tego dnia Zosią,  
niebezpieczną kobietę z podlotkiem,  
brunetkę z blondynką ---

„Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przypuszcza,  
odbiera naprzód rozum od obywateli”  
– tak Podkomorzy kwituje modę na francuszczyznę,  
tuż przed zjawieniem się Telimeny ---

II

Od tego pustego miejsca rozpoczyna się fabuła,  
to punkt zerowy, inicjuje towarzyską igraszkę,  
ale nie jest częścią tych zabaw, ale ich kontekstem,

byśmy na końcu znowu wrócili do pustego miejsca,  
na dźwięk poloneza, słysząc koncert cymbalisty,  
Zacnego Żyda, kiedy wszyscy bohaterzy

kroczą w rzewnym happy endzie,  
i ufność pokładają w polityce Napoleona  
i wierzą w imperatyw: „Kochajmy się!” ---  
Bowiem puste miejsce to ruiny zamku,  
które stało się przyczynkiem do morderczych walk szlacheckich klanów,  
a ta pustka to cały kraj, z całą swoją szlachtą,

arcydzieło Mickiewicza zaś jest opowieścią o tych pustych przestrzeniach ---

### III

Pusta przestrzeń to organizacja instytucji prawa,  
Rosjanie opróżnili ją przy pomocy zbioru praw wojennych  
zwanym „żółtą księgą”, czasami zaś skazywali wszystko na łaskę lub niełaskę,

w czasie, kiedy drobna polska szlachta  
sama wybrała bieg jałowy, pieszcząc się ze swymi urazami  
i procesując pomiędzy rozsypanymi ścianami majątków,

nad pustym miejscem, które zaludnia jedynie  
fantazja Gerwazego;  
Gerwazego – tego dzikusa patrioty,

roztaczającego obrazy minionego złotego wieku, niekończących się uczt;  
w dziś wyludnionych i cichych ruinach w scenie z księgi drugiej;  
w jego wizji wybrzmiewa toast:  
„Kochajmy się!”, który, pewnie nie przez przypadek, staje się hasłem  
ostatniej księgi, rozwlekle przeradzającej się w happy end;

wymowa tego toastu też jest wolna od ironii ---.

### IV

Bowiem któż mogłoby mieć więcej ironii w sobie niż Gerwazy, stróż domowego ogniska,  
żywa pamiątka narodowej glorii,  
ultra-dziewiętnastowiecznik, po tym jak za kulisami  
podrzyna swoim Scyzorykiem – pro publico bono – gardło  
wziętego do niewoli majora Płuta, bo ten zbyt chętny był korupcji,  
gdy rosyjski kapitan próbował zatuszować fakt ich bitwy.

Ale milczenie (sprzedajność) przyjętego do carskiej służby,  
zruszczowanego Polaka, Płuta  
jest jeszcze bardziej rozpaczliwe –,  
po tym, jak Gerwazy zabija jeńca,  
wiedziony rodzajem pilności, którą kwituje  
wieczne milczenie majora, jak się zdawało, niezbędne, by przetrwać cały ten zamęt.

Cóż mogłoby być bardziej ironiczne niż fakt, że swój Scyzoryk, tę legendarną, pradawną  
broń w finalnej wielkiej scenie, gdy wszyscy padają sobie w objęcia  
wkłada do rąk generała

(a nawet pojawia się rada, jak go używać:  
„zawsze od lewego ucha  
ciąć oburącz, to  
przetniesz od głowy do brzucha”),

„Generał wziął Scyzoryk; lecz że bardzo długi,  
Nie mógł nosić, w furgonie schowały go sługi.  
Co się z nim stało, różnie powiadają o tem,  
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem”.

Ślad o rapierze zaginął,  
tak jak o zmiądzonym śmiercią więźniu, trupie Płuta,  
rapier, podobnie jak ofiara,  
sam staje się pustym miejscem:  
wszystko się zatracza, znika, wypada z rytmu,

wypada trajektorią pustych miejsc ---

V

Polski romantyzm – pisze Grotowski,  
Jest zarówno oschle konkretny jak i metafizyczny:  
Zawsze jest też w nim obecny „pewien rodzaj rysu charakterystycznego dla Dostojew-  
skiego,

w którym postrzega on ludzką naturę przez pryzmat mrocznych motywów,  
w świetle proroczego szaleństwa” ---

Skoro tak jest, to autor Pana Tadeusza  
byłby antyprorokiem, który zwraca twarz w stronę przeszłości



i wycofuje się między miny ironii,  
rozkładając ramiona w geście niemocy,  
tak jak Angelus Novus rozpościera skrzydła na obrazie Klee,  
Cudnie pomyślany portret Tadeusza,  
kiedy z niemym podziwem kontempluje krajobraz,  
gdzie najmroczniejsze cechy ludzkiej natury  
zmieniają się w stale powtarzającą serię gestów,  
to komicznie histeryczny, obronny gest, przy pomocy którego  
historia – niczym rozpaczliwie broniący się komar –  
lokuje samą siebie w powoli zastygającej żywicy  
ludzkiego czasu,  
poprzez wspomnienie paryskiego wygnania, poprzez w popiół obrócy rodzinny dom ---

Sprawa narodowa w Panu Tadeuszu  
tonie w bezbarwnej barwie bursztynu,  
zamyka się w sobie, w czasie, gdy prawdziwa

tragednia poematu przyczaja się niemal niezauważalnie  
niczym ususzony kwiat między rzadko  
przewracanymi kartkami modlitewnika.

To nie pustka:  
To świat wymarły. Ginący w jednym miejscu i przechodzący gdzie indziej.  
Przeciw niemu walczy i przez niego cierpi

główny bohater historii – nieruchomy poruszyciel ---

VI

Ktoś jednak pojawia się  
w punkcie wyjścia, kobieca piękność w latach  
swego rozkwitu:

Wkroczenie Telimeny w księdze pierwszej,  
gdy tanecznym krokiem zbliża się i zajmuje miejsce obok Tadeusza,  
jest być może w swej zniewalającej sile porównywalne

jedynie z pojawieniem się Mme Chauchat,  
chwytającej za serce szlachetnego Hansa Castorpa,  
to lękające się życia dziecko ---

Czy Telimena zajęłaby to miejsce,  
gdyby sama nie była zjawą przybywającą z przeszłości  
Puste miejsce przy stole dotyka serca Tadeusza,  
tak jak puste miejsce w sercu księgi jest  
bajkowym maceznikiem, ale też  
oceanem drzew, szumiącym szaleńczo ponad głową małego Mickiewicza ---

Chwila powrotu do czasów historycznej zawieruchy,  
Rozpaczliwe chwytnie się –  
wystylizowanej na idylliczną – przeszłości  
i małżeństwa zawartego z braku lepszej opcji,

subtelne drżenia w głębokich warstwach epopei –  
tuszowane przez dźwięki poloneza i wiwaty poślubionych.  
to wszystko, jak biurko, o którym stale wspomina

Telimena, które nigdy nie zostaje otwarte, byśmy się mu przyjrzeni,  
A wśród wszystkich środkowoeuropejskich tajemnic  
to sekretne wnętrze biurka byłoby tu najciekawsze

zwłaszcza ze swoimi skarbami i zapachem lawendy ---

## **Zapiski na marginesie wiersza Różewicza, #1**

Tadeusz Różewicz, *Włosek poety*

Różewicz zaczyna wiersz od poety,  
a potem zwraca uwagę na jego głos –  
ten cieniuteńki włoszek,  
na którym wisi cała kula ziemiska.

To powabny obrazek, ale co by było,  
gdybyśmy wyrócili go na nice: możliwe  
że głos poety nie jest cieniutki jak włoszek  
ale ma grubość metalowej liny, z której końca zwisa wiersz  
i jest to ważąca tonę kula do wyburzania murów.  
Zostaną po niej ruiny, dymiące chmurami pyłu  
ruiny po przyjemnie zamieszkanym świecie pozorów.

Choć możliwe też, że wiersz jest jak szmaciane jojo  
w dłoni małego nieprzytomnego ucznia,  
a głos poety to gumka, zwisająca z grzbietu dłoni –  
by radość zabawy wykluczyła i zniweczyła  
rozgrywającą się wokół rzeczywistość-instant.

## **Zapiski na marginesie wiersza Różewicza, #2**

Grzebień Julii

znalazł się w osobnej sali, w małej gablocie.

Długi, kruczoczarny włos potyskuje pomiędzy srebrnymi zębami.

Identyczny, równie błyszczący w Souvenir Shopie

na koszulkach, pocztówkach, plakatach.

Przy wejściu, w miejscu, gdzie zwykle stoi olbrzymi baner

włos w gigantycznym powiększeniu.

Ziemia obróciła się wokół własnej osi, zwolennicy sztuki

wrócili na spoczynek po męczącym dniu.

### **Zapiski na marginesie wiersza Różewicza, #3**

Różewicz zaczyna wiersz od poety,  
który jest „na pewno kims”;  
cóż, możliwe.

Nie umiem temu zaprzeczyć, a nie zwykłem podważać niczyjego zdania.

Ale nie pogardziłbym chwilką szperania w „jego” historii;  
zjawia się więc, dajmy na to, niewidomy Grek.

W jego przypadku poeta jest tożsamy z własnym głosem,  
a przynajmniej nie jest bytem osobnym –

nie mógłby być, to zrozumiałe,  
bo tamten nie widzi nikogo inaczej niż poprzez głos.

Albo zjawia się zamknięty w klatce stary faszysta:

poeta też przywiera do dźwięku,  
fatalistycznie, jak mucha do lepu,  
i to dlatego, że „ktoś”

to znacznie bardziej chaotyczny byt.

A jednak chciałbym zbagatelizować poetę:

Poeta, to na pewno „coś”.

Poeta to punkt zawieszenia,

na którym dźwięk jest jak nitka cieniutka, jak włos,

ledwo utrzymujący bezwładną Ziemię,

Ziemię hołdującą wisielczemu humorowi;

kręcą nią kosmiczne wiatry, ślepe siły,

i to z niepohamowanym optymizmem, jakby była globusem na biurku.

Kręcą nią jak Lolek i Bolek, dwa łobuzy, obieżyświaty

na początku każdego odcinka.

## **Projekt pomnika**

4 lipca 1982 roku  
na barcelońskim stadionie Camp Nou  
w półfinale mistrzostw świata, w ostatniej rozgrywce  
na krótko przed końcem meczu,  
dokładnie w 90 minucie  
w środkowej części boiska, przy lewej linii bocznej  
Włodzimierz Smolarek przejmuje piłkę.  
Utrzymuje się przy piłce, omijając Tengiza Sulakvelidze  
i przez moment ma szansę ruszyć w kierunku  
bramki legendarnego radzieckiego bramkarza –  
Rinata Dasajewa, ale wchodzi mu w drogę Witali Daraselia.  
Z drugiej strony nadbiega Zbigniew Boniek.  
Stan meczu 0:0, z tym wynikiem  
polska drużyna może awansować dalej  
i znaleźć się 4 lipca 1982 roku  
wśród czterech najlepszych drużyn,  
ale już bez Związku Radzieckiego.  
I wtedy Włodzimierz Smolarek  
robi coś wyjątkowo dziwnego.  
Zamiast ruszyć w stronę bramki,  
zatacza łagodny łuk,  
i zbliża się z piłką do chorągiewki w rogu boiska,  
zasłaniając ciałem piłkę przed sowietami,  
kradnąc tym samym bezcenne sekundy meczu.  
Potem nadciąga Boniek i odbiera piłkę trzem sowietom,  
a potem jeszcze kiwa czwartego,  
podcina go wściekły i rozgoryczony Siergiej Bałtacza;  
rzut wolny, żółta kartka, a sekundy płyną dalej.

A my w asyście odgłosów niezadowolenia obserwujemy sportowy spektakl,  
który Smolarek rozegrał już kilka minut wcześniej,  
gdy piłka z rzutu wolnego trafiła w narożnik  
i tam na niby guzdrał się z podaniem mając przy sobie Andrzeja Buncola,  
tak długo, aż dwaj sowieccy gracze nie wywinęli fikołków na murawie.  
Śledzimy mecz z uśmiezkami na twarzy,  
jakby to była scena, a także dlatego  
że stała się trochę komiczna;  
patrzemy śmiejąc się do siebie głupawo:

mój ojciec, jego przyjaciel, inżynier rolnictwa z wielką brodą  
i ja, dwunastolatek;  
siedząc przed naszym Orionem,  
czarno-białym, błyszczącym ekranem telewizora;  
a w międzyczasie dokładnie rozumiemy, jaką rolę  
w historii ma gra na zwłokę  
w niesprzyjających warunkach,  
i czym jest bierny opór,  
kiedy nie trzeba za wszelką cenę zdobyć upragnionego celu,  
kiedy wystarczy, że pozwolimy rzeczom, aby po prostu się działały.

Minęło dobre trzydzieści lat  
I brodaty inżynier rolnictwa  
– od tamtego czasu już emerytowany profesor –  
zadał mi pytanie, dlaczego  
pisuję o różnych poetach i powieściopisarzach,  
o tym podejrzanym narodzie, zonglującym nieśmiertelnością,  
a nie piszę, na przykład  
o niezliczonych autorach książek kucharskich.  
Niech zatem tak będzie, do tej pory grałem na zwłokę –

teraz nastąpi opis dzieła sztuki.

Metr wysokości, rustykalna betonowa podstawa, kształt klina wycięty z przestrzeni,  
trójkątna chorągiewka z brązu,  
z brązu jest też pięć sylwetek naturalnej wielkości.  
Smolarek, Boniek i trzech sowietów.  
Boniek zaśnania piłkę  
tak długo, aż Smolarek nie znajdzie się kilka kroków dalej, by bronić piłki.  
Podstawa ma na bokach bogato rzeźbiony fryz  
utrzymany w stylu czternastowiecznych, kościelnych rzeźb drewnianych,  
w żywych barwach, a nim drobne postaci:  
pracownicy fabryk, żołnierze, zmarli,  
elektrycy, policjanci, stręczyciele,  
kasjerki, donosiciele, zakrystianie  
i cały episkopat,  
kierowcy ciężarówek, filozofowie i mimowie,  
dekoratorzy i handlarki rybami,  
entuzjastyczna dzieciarnia i zmęczeni nauczyciele historii,  
a między nimi my, mój ojciec,

przyjaciel ojca, inżynier rolnictwa z wielką brodą  
i ja, dwunastoletni,  
trzymając w dłoni błyszczące w ciemności neonowe rurki,  
byśmy wszyscy mogli z zapartym tchem śledzić  
ten doczesny, pocieszający i olśniewający pokaz  
na barcelońskim stadionie Camp Nou  
z 4 lipca 1982 roku.





*Régi és mai lengyel bankjegyek kiállítása a wroclawi Városi Múzeumban, április 15.*

## **A szimbólumok hasznáról és káráról a történelem számára**

Hol van már Madame Curie,  
és hol van Chopin, a viharok tépázta lélek?  
Hol van Wyspiański, Kopernikusz,  
hol Reymont, és hol van Staszic?  
A Lengyel Nemzeti Bank papírpénzeit ma  
kemény arcélú, céltudatos uralkodók,  
koronás fők foglalják el,  
a hatalmi harcok virtuózai,  
nyilvánvalóan a korszellem jegyében,  
a numizmaták paradicsomába számúzve  
a kortalan szellem bajnokait.  
Hát persze, a nemzeti valuta  
nem ettől lesz értékesebb vagy értéktelenebb,  
hiszen a pénz értéke sosem szimbolikus.  
A szimbólumok mindenkorí árfolyama  
viszont megint csak más kérdés.  
Hisz éppen el lehetne képzelni szelídebb őrségváltást is:  
egy párhuzamos és a mostaninál  
mélyebb valóságot, ahol példának okáért  
Witkiewicz átható tekintetű portréi villannának meg a szupermarketekben  
a pénztárosnők fürgé ujjai közt.

## **Széljegyzetek a Pan Tadeushoz (egy esszé árnyéka)**

Az egész színházi termet átalakítottuk pszichiátriai kórteremmé, a nézőket úgy kezeltük, mintha betegek lennének – minden egyes nézőnek ebben a bánás módban volt része –, végül még az orvosok, azaz a színészek is betegekké váltak, mindent hatalmába kerített az adott kor, az adott civilizáció nagy betegsége, vagy inkább: mindent megbélyegzett ez a hagyomány.

Jerzy Grotowski

I

Az az üres hely az asztalnál Tadeus mellett,  
mindjárt az első fejezetben,  
a romos várban adott vacsorán:

az az üres hely, amely titokként csábítja az elmét,  
s amely – ahogy Mickiewicz írja – immár nem is üres,  
hiszen száz meg száz gondolat, találgatás tölti meg, nyüzsög benne ---

Az az üres hely, amelyet aztán Telimena,  
Szoplicovó femme fatale-ja,  
az egykori pétérvári metresz foglal el,

s akit a hülyeségig bamba Tadeus összetéveszt az aznap megpillantott Zoskával,  
a veszedelmes szépasszonyt a kamaszlánnyal,  
feketét a szőkével ---

„...mert Isten, ha büntetni akar egy-egy népet,  
először is zűrzavart támaszt a fejekben”  
– így szapulja a Kamarás az új francia módot,

éppenséggel Telimena belépője előtt ---

II

Erről az üres helyről indul tehát a cselekmény,  
ez a zéró pont, a társasjáték startmezője,

amely a versenypályának nem része, de kontextusa,  
hogy végül aztán ismét csak egy üres helyre érjünk vissza  
a polonéz hangjaira, a Derék Zsidó  
cimbalomjátékára, ahol az összes szereplő

ott toporog szügyig hepiendben,  
a napóleoni politikába vetett kétségbeesett bizalom  
és a „Szeressük egymást!” imperatívusza jegyében ---

Mert üres hely a romos vár, amiért  
egymást gyilkolják a kismemesi klánok,  
és légüres tér az egész ország, szlachtástul-mindenestül,

és ennek az üres térnek a regénye Mickiewicz remekműve ---

III

Üres tér a jog intézményrendszere,  
az oroszok üresítik ki a Sárga Könyvnek hívott  
haditörvénykönyvvel, vagy csak úgy, kényre-kedvre,

miközben a lengyel kismemesség saját magát  
helyezi üresjáratba, ósrégi sérelmeket dédelgetve és a  
kidőlt-bedőlt falak birtokjogán perlekedve,

az üres hely fölött, amelyet egyedül  
Gervázi fantáziája népesíti be,  
Gervázié, a hazafiúi furor vademberéé,

aki aranykori életképeket, végtelenített lakomákat  
vizionál a kihalt romcsarnokba,  
és itt, a második könyvnek ebben a jelenetében,

ennek a látomásnak a keretében csendül föl  
a „Szeressük egymást!” tósztyja, amely a túlhúzott hepiendbe omló  
záró fejezet címe lesz majd, talán nem véletlenül,

és nem minden iróniától mentesen ---

#### IV

Hisz mi lehetne ironikusabb, mint hogy Gervázi, a láng őrizője,  
a nemzeti gloire eleven emlékezete,  
ez a tizenkilencedik századi ultra, miután a színpalak mögött

nevezetes Bicskájával elvágja a foglyul ejtett Plut őrnagy nyakát  
– pro bono publico, hiszen a könnyen korrumpálható  
orosz kapitány még elsimítaná a csetepaté ügyét,

de a cári szolgálatba szegődött, elmuszkásodott lengyel Plut  
hallgatása (vagy megvásárolhatósága)  
már jóval kétségesebb –,

miután tehát Gervázi kivégzi a foglyot,  
mintegy önszorgalomból, amit társai zavart  
hallgatása nyugtáz,

mi lehetne ironikusabb, mint hogy a Bicskát, ezt az ősrégi fegyverlegendát  
a végső összeborulás nagyjelenetében aztán  
a tábornok kezébe helyezze

(sőt, használati útmutatót is mellékeljen hozzá:  
lazára kell hagyni a szíjat, két kézzel, balról  
érdemes vágni vele),

a tábornok pedig egy társzékérre pakoltatja föl,  
s innentől fogva a legendás Bicskának, hipp-hopp, nyoma vész,  
ahogy azt Mickiewicz mellékesen odaveti ---

Nyoma vész, akárcsak a lemészárolt fogoly, Plut tetemének,  
egyként üres helyé válik az áldozat és a fegyver helye is,  
minden elveszik, kihullik, kipörög,

kipörög az üres helyeken keresztül ---

## V

A lengyel romantika, írja Grotowski,  
egyszerre szikár-konkrét és metafizikus:  
mindig is jelen volt benne „egyfajta dosztojevszkiji vonás,

amennyiben az emberi természetet a sötét  
motívumok felől, a látnoki örület  
fényében szemlélte” ---

Ha ez így van, a Pan Tadeus szerzője  
inkább afféle ellenlátnok, aki arcát a múlt felé  
fordítja, és így hátrál egyre

az irónia taposóaknáit közt,  
karját bocsánatkérően széttárva, akár  
a szárnyát Klee Angelus Novusa,

ez a remekbe szabott Tadeus-portré,  
néma csodálkozással szemlélve a tájat,  
ahol az emberi természet legsötétebb motívumává

az állandó ismétlődés gesztusa válik,  
a komikusan hisztérikus, tekergőző mozdulat, amellyel  
a történelem kétségbeesetten kapálózó moszkítója

dolgozza be magát az emberi idő  
lassan megkövesülő gyantájába,  
párizsi száműzetéséstud, porba tiport szülőházastul ---  
A nemzeti ügy a Pan Tadeusban  
tompá borostyánszínben úszik,  
magára zárul, miközben a valódi

tragédia ebben a regényben  
úgy lapul meg, szinte észrevétlen,  
mint lepréselt virág egy ritkán forgatott

zsoltároskönyv lapjai közt. Nem az üresség:  
a kiüresedés. A valahonnan valahová.  
Ez ellen harcol, ettől szenved épp  
a történet kulcsszereplője és mozdulatlan mozgatója ---

## VI

Hiszen mégiscsak elfoglalja valaki  
a kiindulópontot, az üres helyet –  
az elvirágzófélben lévő szépasszony maga:

Telimena belépője az első fejezetben,  
ahogy beperdül a Tadeus melletti ülőhelyre,  
ez a lehengerlő bevonulás talán csak

Mme Chauchat megjelenéséhez fogható,  
és szíven is üti a szlachta Hans Castorpját,  
az élet féltett gyermekét ---

Telimena töltené hát be ezt a helyet,  
ha nem volna maga is a múltból itt ragadt kísértet,  
üres hely a szíven ütött Tadeus szívében,

ahogy a könyv szívében üres hely  
a mesebeli szűzvadon, és üres hely immár  
a lombtenger, amint őrjögve zúg a gyermek Mickiewicz feje fölött ---

Hátravetett pillantás az örvénylő zúrzavarba,  
kétségbeesett kapaszkodás  
egy idillé stilizált félmúltba, egy jobb híján kötött házasságba,

néma remegések a regény mélyrétegeiben –  
elfedik a polonéz hangjai, elfedi a násznép éljenzése.  
Olyan az egész, mint Telimena szekretere,

melyet folyton-folyvást emleget, de sohasem pillanthatunk bele,  
pedig a közép-európai történelem minden titka közül  
ennek a szekreternek a félhomályos mélye érdekelne a leginkább

a rejtett kincseivel, a levendulaillatával ---

*A Pan Tadeus-idézetek Rónay György fordításából, a Grotowski-idézetek a Színház és rituálé című esszéből, Pályi András fordításából származnak.*

## Széljegyzet egy Rózewicz-vershez, # 1

Tadeusz Rózewicz: *Włosek poety* (A költő hajszála)

Rózewicz verse a költővel indít,  
hogy aztán a hangjára hívja fel a figyelmet,  
erre a vékonyka hajszálra,  
amelyen maga a földgolyó csüng.

Tetszetős kép, de mi volna, hogyha  
fordítanánk rajta egyet: meglehet,  
a költő hangja nem vékonyka hajszál,  
hanem vastag drótkötél, és a végén ott libeg a vers,  
ez a tonnányi súlyú rombológolyó.  
Romok maradnak utána, a kényelmesen belakott látszatvalóság  
porfelhőkben füstölgő romjai.

Bár az is lehet, hogy a vers similabda  
egy önfeledt kisiskolás kezében,  
és a költő hangja a kézfejére akasztott gumiszál –  
hogy a játék öröme zárja ki és semmisíti meg  
a körös-körül fölhúzott, instant valóságot.



## **Széljegyzet egy Rózewicz-vershez, # 2**

Tadeusz Rózewicz: *Włosek poety* (A költő hajszála)

Júlia fésűje

külön teremben, egy kis tárlóban kapott helyet.

Hosszú, éjsötét hajszál csillog az ezüstoffak között.

A Souvenir Shop-ban ugyanaz a csillogás

pólókon, képeslapokon, posztereken.

A főbejárat mellett, az óriás banner helyén

a Hajszál csüng gigantikus nagytárlásban.

A Föld elforog, a művészet barátai

aludni térnek a fárasztó nap után.

### Széljegyzet egy Rózewicz-vershez, # 3

Tadeusz Rózewicz: *Włosek poety* (A költő hajszála)

Rózewicz verse a költővel indít,  
aki „bizonyára valaki” –  
nos, lehet.

Tagadni nem tudom, cáfolni nem áll módomban.

Pedig nem volna ellenemre kicsit megpiszkálni ezt a valakiságot;  
ott van mindjárt, például, a világtalan görög.  
Az ő esetében a költő a hangjával azonos,  
legalábbis nem különül el tőle –  
nem is különülhet, értelemszerűen,  
hiszen a hangon túl nem látni senkit.  
Vagy ott a ketrecbe zárt vén fasiszta:  
a költő ott szinte hozzátapad a hanghoz,  
végzetszerűen, mint légy a légypapírra,  
és épp azért, mert a valakisága  
már sokkalta zűrösebb ügy.

Mégsem szeretném a költőt alábecsülni:  
a költő, az bizonyára valami.  
A költő a felfüggesztési pont,  
amelyen a hang hajszálvékony fonala  
megtartja valahogy a tehetetlen Földet,  
melyet jéghideg humornak hódoló  
 kozmikus szelek pörgetnek, vak erők,  
szilaj jókedvel, akár az íróasztalon álló földgömbjét  
Lolka és Bolka, a két világutazó kópé  
az epizódok bevezetéseképp.

## **Egy emlékmű tervezete**

1982. július 4-én  
a barcelonai Nou Camp stadionban  
a világbajnokság középdöntőjében, a csoport utolsó mérkőzésén,  
nem sokkal a meccs lefújása előtt,  
egész pontosan a 90. percben  
Włodzimierz Smolarek labdához jut a felpályánál,  
a balszélső helyén.  
Elviszi a labdát Tengiz Szulakvelidze mellett,  
és van egy pillanat, amikor  
befelé indulhatna  
a világklasszis szovjet kapus,  
Rinat Daszajev kapuja irányába,  
ahol Vitalij Daraszeliya igyekszik keresztetni az útját,  
másfelől viszont Zbigniew Boniek is felzárkózik mellé a támadáshoz.  
Az állás 0:0, ezzel az eredménnyel  
a lengyel válogatott áll továbbjutásra,  
és mehet a legjobb négy közé  
a Szovjetuniót kiejtve  
1982. július 4-én.  
És ekkor Włodzimierz Smolarek  
valami nagyon furcsa dolgot csinál.  
Ahelyett, hogy a kapu felé indulna,  
enyhe ívben elkanyarodik,  
és leviszi a labdát a szögletzászlóhoz,  
a testével fedezve a szovjetek elől,  
lopva a hátralévő másodperceket.  
Aztán érkezik Boniek, és kimenekíti a labdát három szovjet között,  
majd miután kicszelez egy negyediket is,  
a dühös és elkeseredett Szergej Baltacsja felvágja,  
szabadrúgás, sárga lap, peregnék a másodpercek.

Mi pedig elégedett vihoggással figyeljük a produkciót,  
amit egyébként Smolarek pár perccel korábban  
már eljátszott egyszer, amikor  
egy lepasszolt szabadrúgást vitt le a sarokba,  
és ott tökörészték vele Andrzej Buncollal,  
míg hanyatt nem bukfenceztek két szovjet játékoskal együtt.  
Viharászva figyeljük tehát,

annál is inkább, mivel a jelenet így, másodjára  
már kap egyfajta komikus jelleget,  
vihorászva nézzük,  
apám, apám barátja, a nagy szakállú agrármérnök  
és én, tizenkét évesen,  
a villódzó fényű, fekete-fehér  
Orion tévékészülék előtt,  
miközben pontosan értjük, hogy kedvezőtlen körülmények között  
mi is az időhúzás  
szerepe a történelemben,  
s hogy mi az a passzív rezisztencia,  
amikor nem kell mindenáron célra törnünk,  
elég, ha engedjük megtörténni a dolgokat.

Eltelt bő harminc év,  
és a szakállas agrármérnök  
– azóta professor emeritus –  
nekem szegezte a kérdést, hogy miért mindenféle  
költőkről meg regényírókról szoktam írni,  
e halhatatlansággal csencselő, gyanús népségről,  
miért nem írok róla, példának okáért,  
tucatnyi szakkönyv szerzőjéről.  
Legyen hát, eddig húztam az időt –

műtárgyleírás következik.

Méternyi magas, rusztikus betontalapat, ék alakú kivágat a térből,  
a szögletzászló bronzból,  
és bronzból vannak az ötnegyedes életnagyságú alakok is,  
Smolarek, Boniek és a három szovjet.  
Boniek a labdát fedezi,  
míg Smolarek pár lépés távolságból, a térdére támaszkodva figyel.  
A talapat oldalán gazdagon burjánzó fríz  
a 14. századi templomi faszobrok stílusában,  
élénken színezett, apró alakok:  
gyári munkások, katonatisztek, halottak,  
villanyszerelők, rendőrök és stricik,  
kasszírnökök, besúgók, sekrestyések,  
egy komplett püspöki kar,  
kamionsofőrök, filozófusok és pantomimesek,

díszletmunkások és halaskofák,  
lelkes kiskölykök és fáradt történelemtanárnők,  
és köztük mi, apám,  
apám barátja, a nagy szakállú agrármérnök  
és én, tizenkét évesen,  
villódzó neoncsövek fényével megvilágítva,  
ahogy mindannyian lélegzetvisszafojtva figyeljük  
az evilági vigasz villanásnyi megmutatkozását  
a barcelonai Nou Camp stadionban  
1982. július 4-én.

**Károly Méhes**



Trzecia strona: tutaj zaczyna się dziennik.

*Zapiski podróże! W lutym i marcu 1944 roku mieszkaliśmy w Kolozsvárze. Z powodu stałego bombardowania zakończyliśmy rok szkolny na początku kwietnia. Staraliśmy się też zlikwidować nasze gospodarstwo domowe: w Wielkim Tygodniu praliśmy i prasowali, by móc się, w możliwie największym porządku, spakować i udać do Kraszny, by tam wieść spokojniejsze życie. W Wielki Piątek o dziesiątej wieczorem nad Kolozsvárem znowu przeleciał wielki samolot wroga, później codziennie było tak samo, ale na szczęście nie bombardowano miasta. Dla mnie, jako matki i gospodyni domowej, największym problemem było pakowanie tego wszystkiego, żeby każdy miał swoje rzeczy w dobrym stanie.*

Ponieważ właśnie na tym powinno polegać życie.

Czasami wyciągałem dziennik, przyglądałem się mu, czując, że to wyjątkowy skarb i dobrze byłoby coś z tym jeszcze zrobić. A jednym z pomysłów miał polegać na tym, by pojechać do nieznanego Breslau – Wrocławia, o którym w międzyczasie dowiedziałem się, że ma także węgierską nazwę, Boroszló. Tam, począwszy od 1474 roku, węgierski król Maciej Korwin rządził silną ręką po zwycięskiej walce.

Kiedy okazało się, że Wrocław w 2016 roku będzie Europejską Stolicą Kultury, peczeński program wymiany pisarzy funkcjonował już od pięciu lat. Powstał pomysł, że skoro tak się wszystko ułożyło, moglibyśmy zrobić coś wspólnie. I tak zrodziło się to „postscriptum”.

\*\*\*

Czworo moich najważniejszych bohaterów:

**Dr Gyula Méhes** (1897-1970) – lekarz, aptekarz. Syn siedmiogrodzkiego młynarza, któremu, jak to się często zdarza, miejscowy ksiądz powiedział, że ma dobrą głowę, ma więc iść po naukę. Poszedł. Po zdobyciu dyplomu lekarza kontynuował studia w Wiedniu, Londynie, pracował u boku Alberta Szent-Györgya. Od 1929 roku szefował nowo założonemu Ichtologicznemu Instytutowi Badawczemu w Tihany. Kiedy w 1940 roku na mocy II arbitrażu wiedeńskiego ponownie przyłączono północny Siedmiogród do Węgier, stanął na czele Wydziału Farmaceutycznego na kolozwarskim uniwersytecie. Cztery lata później musieli stamtąd uciekać.

**Dalma Gyöngyösi** (1900-1987) – drugie dziecko sędziego apelacyjnego i zdegradowanej szlachcianki, do trzydziestego roku życia wiodła życie „dziewczęcia z dobrego domu”. Bywało, że w domu mieli na posadzce służbę; nauczyła się piec, gotować, żyć i haftować. Odrzuciła zaloty dwóch starych i tęgich właścicieli ziemskich i kiedy obawiała się, że zostanie starą panną, do przyłączonej do kraju Kraszny zawitał Gyula Méhes, poprosił ją o rękę



i poślubił. Mieszkali w Tihany. W 1931 roku urodziła się ich córka, Dalma, a w 1936 roku syn, Károly.

**Dr Dalma Méhes (1931-1995)** – pediatra. Była olśniewająco piękna i mądra, samowystarczalna i autodestrukcyjna. Moja matka chrzestna. Została pediatrą, ale nie urodziła własnego dziecka. Wszystko, co mówiła było niezwykle ciekawe, ale to jak się zachowywała i obchodziła z innymi było nieznośne.

**Dr Károly Méhes (1936-2007)** – pediatra, genetyk. Trudno pisze się o ojcu, ale tyle się do dzisiaj nasłuchałem, o tym jaki był, że wystarczy powtórzyć. Prawie zawsze i we wszystkim był znakomity – od szermierki przez śledzenie pomniejszych anomalii badawczych, aż po organizację opieki pielęgniarstwa. Pilny, ale nie karierowicz, skromny, ale nie niezguła. Jako ojciec zawsze pragnął wszystkiego co najlepsze, jestem tego pewien. Początek: powiem tylko, że na mocy rozporządzenia wydanego 29 listopada 1944 roku rząd umyślił sobie w związku z Wydziałem Farmaceutycznym kolożwarskiego uniwersytetu, że trzeba wysiedlić do Niemiec (z terenów do których zbliża się front i bombardowanie) studiującą młodzież z prowincji, co po części miało uchronić kraj przed udziałem w wojnie, a po części, przynajmniej, wynikało z przezorności rządzących. Fragment owego rozporządzenia brzmiał następująco: „na wypadek wojny można prowadzić pojedyncze wydziały z dala od ich siedziby, mianowicie zorganizować je poza granicami kraju”. Dr András Csilléry, komisarz rządowy (z wykształcenia stomatolog, odbywał studia m.in we Wrocławiu), najpierw wytypował wykładowców z prowincji, głównie spośród uczących na uniwersytecie kolożwarskim; z jednej strony nie byli już tacy młodzi (dr Gyula Méhes miał 47 lat), z drugiej zaś strony nie mieli już mieszkań, nie mieli gdzie się podziąć. Csilléry oznajmił również, że wszystkie poczynania będzie regulowało prawo wojenne, także w przypadku członków rodzin w sytuacji spraw karnych. Dlatego, i odnotowuje to także moja babcia, grono wykładowców i słuchaczy dostało obowiązkowe wezwanie do służby wojskowej, tzw. SAS (powołany miał 48 h na pojawienie się w jednostce – przyp. tłum), którą odbyli w Batalionach Uniwersyteckich. W Budapeszcie Csilléry wystosował do słuchaczy następujące oświadczenie: „Zabiorę was do Niemiec, zastąpię wam waszych ojców i wraz z ustaniem zagrożenia wrócimy, by na nowo odbudować Węgry”.

**Dr Róbert Walsa (1923-2000)** – ówczesny słuchacz medycyny zapamiętał wszystko tak: „Csilléry, komisarz rządowy, scharakteryzował zadania następująco: trzeba nauczyć się niemieckiego, zdobyć dyplom i na końcu pojechać na front”.

Biedna mama wyobrażała sobie wszystko trochę inaczej, że skoro już trzeba jechać, niech wyniknie z tego coś wielkiego i ważnego.

*Mówiło się, że Ribbentrop zaprosił węgierską naukę do Niemiec jako „gościa”. Najpierw powiedzieli Gyuli, żeby się szykował, bo na pewno wyjedzie razem ze swoim wydziałem lekarskim. Byłam bardzo zaniepokojona, miałam dylemat: co miałam zrobić? Jeśli zostaną z dwójką dzieci w Budapeszcie, to nasza rozłka będzie ostateczna. Miałam jedynie nadzieję, że nie trze-*

ba będzie nigdzie jechać. Ale, niestety, sprawy nabrały tempa, bo w środę 5 grudnia o jedenastej wieczorem listonosz przyniósł wezwanie z „SAS”-ów. Zorganizowaliśmy trzy skrzynie, kupiliśmy sześć naczyń kuchennych, talerze, szklanki, filiżanki, zwykłe sztucze, żebyśmy także podczas drogi mieli na czym i czym jeść, bowiem mieliśmy żywić się żołnierskim wiktem. Niestety nie udało mi się zdobyć ciepłej odzieży, więc wyruszyliśmy odziani bardzo skromnie i nieodpowiednio do pory roku w tę, jak się wydawało, niemającą końca, daleką drogę. 8 grudnia, święto maryjne, wstaliśmy wczesnie rano i udaliśmy się do kościoła na mszę świętą. Po południu pojechaliśmy bardzo obciążonym samochodem pocztowym na Dworzec Keleti, zawieźli nas na dwie raty. Wsiadliśmy do pociągu uniwersyteckiego, każdy miał w nim swoje miejsce. Byliśmy w jednym przedziale z László Haranghym i jego rodziną. Pociąg składający się z dwudziestu siedmiu wagonów miał nas zawieźć do Breslau. Osiemset osób, największy skarb kraju – wydział lekarski – stał się bezpaństwowym! Z wielkim trudem ruszyliśmy przed siebie. Ponieważ ciągle trwały naloty, o jedenastej wieczorem pomyśleliśmy, że może wreszcie ruszymy z miejsca, ale tylko popychaliśmy się, stłoczeni, wte i wewte. Przeżyliśmy naprawdę trudne godziny, widzieliśmy na własne oczy ostrzeliwania. Oddalone o półtora kilometra oddziały wroga stale stawały w ogniu. O piątą rano wciąż byliśmy na Keletim, aż w końcu ruszyliśmy w drogę.

Pierwszy dzień lipca, lato par excellence. Już nie jest jak pokryty pisklęcym puchem czerwiec, jego zieleń jeszcze nie osiągnęła przesadnej pełni, barwy nie straciły jeszcze intensywności, nie spalił ich upał. Skrzy się od ciepła i słychać w tym migotaniu jego dźwięczne odgłosy. Po bardzo błękitnym niebie suną, puszając się niecierpliwie, bielutkie baranki chmur, kołysząc się między kościelną wieżą a ażurowym zwieńczeniem pałacu i spokojnie przyglądają się z góry, jak wiele narodów ciągnie w tym kierunku.

Jest wytyczony cel, są kilometry, droga, która stała się maleńkim zadaniem, bo wszystko, co widać to niekończący się krajobraz i regiony. Mkniemy i w mgnieniu oka zostawiamy za sobą wszystko. To, co za nami też jest z nami, wszystko co „za nami” znajduje w nas swoje miejsce.

Domowe kanapki, jak zwykle w podróży, nabieramy ochoty na zupę, potem miętowa herbata. Kawa w Bańskiej Szczawnicy. Krótka drzemka na siedzeniu pasażera. Wszystko jest i tak spowite senną aurą. Anna czeka na nas, przekazuje nam mieszkanie.

I w ten sposób człowiek staje się w ciągu jednej chwili wrocławianinem. A nie podróżnym, wlokącym do jakiegoś hotelu swoje manatki.

Ruszyliśmy szybko przed siebie, dziewiątego po południu byliśmy w Győr. Około godziny trzeciej nad ranem przetoczyliśmy przez przedmieścia Wiednia, w ogóle nie zobaczywszy miasta. Jechaliśmy przez granice dawnych Wielkich Węgier w stronę Breslau. Wszędzie widzieliśmy bardzo porządnie obrobione pola. Do Breslau dotarliśmy dwunastego grudnia, ku naszemu największemu zaskoczeniu nikt nie wiedział, że zjawi się tam taka duża grupa Węgrów. Zamieszkaliśmy tymczasowo w czymś przypominającym noclegownię, gdzie mieszkało bardzo wielu ludzi. Były tam dwie duże sale. W jednej spały kobiety, w drugiej mężczyźni. Staraliśmy się znaleźć

*sobie mieszkanie, ale szło to z wielkim trudem. Wynajmowano mieszkania, ale bez mebli, a my niczego nie mieliśmy.*

Mieszkanie przeznaczone do dyspozycji stypendystów programu jest wspaniałe. Znajduje się na piątym piętrze apartamentowca zbudowanego w 2006 roku, są w nim dwa duże, wygodne łóżka, świetnie wyposażone łazienki. Ogromny balkon wychodzi na park. Mamy plazmę, co prawda tylko z polskimi programami, ale za to w obu pokojach jest klimatyzacja, co w lipcu jest na wagę złota. Pracuję przy stole w dużym pokoju, laptop podłączony do kontaktu, obok podłączona ładowarka do telefonu i bateria do aparatu; tyle kabli oplata nasze życie, networking. Jak dobrze by było, gdyby wynaleziono adapter dający się podłączyć do przeszłości; przyłącz odwrotnie, niech wszystkie płynie w odwrotnym kierunku. O niczym innym nie marzę.

Jednym słowem tak sobie żyjemy. Rankiem świeci nam w okna słońeczko, na podłodze pojawiają się długie pasma światła, a wieczorem panuje nieporównywalny z niczym letni rumor.

Jak notował Robert Walsal:

*„Breslau, to niegdyś bogate, ale po latach okupacji niemieckiej sponiewierane i zaniedbane polskie miasto kupieckie, przywitało nas mgłą i dusznym, wilgotnym, nieprzyjemnym chłodem. W zatłoczonym przez wojennych uciekinierów mieście nic nie zapowiadało zbliżających się świąt. A my, po tym, jak kazano nam zostawić daleko w tyle domowe ciepło i naszych ukochanych i to w całkowitej niepewności, a nawet poczuciu przypuszczalnego widma śmierci, pragnęliśmy odrobiny pocieszenia i współczucia. Już po pierwszych minutach wyszło na jaw, że Niemcy mają poważny problem, bo wcale nie przygotowali się na przyjęcie naszej grupy. Nasze miejsce zakwaterowania – przypominający pałacyk budynek gimnazjum świętej Elżbiety przy Arletzius StraÙe – otwarto po długim oczekiwaniu. Dostaliśmy miejsce w budynku szkolnym zajęтым i przystosowanym, jak się zdawało, do celów wojskowych. Parkiet w salach lekcyjnych obsypano gdzieniedzie stomą, ale i tak nie sprawiało wrażenia miejsca odpowiedniego, by tam dłużej mieszkać. A dla naszej mniejszej grupki udostępniono na kilka dni sąsiednią szkołę na Minorietenhof (plac Franciszkański – przyp. tłum.), gdzie mogliśmy spać na szkolnych meblach, poskładanych jedne na drugich. Stary woźny bez większej ochoty rozpałił nam w wielkim piecu, a z sąsiedniego Dorotheenkirche (kościół św. Doroty – przyp. tłum.) dobiegało słabo słyszalne pomrukiwanie organów. To ich dźwięk obudził nas o poranku”.*

*Po świątach znaleźliśmy mieszkanie, dwa całkiem puste pomieszczenia z wnęką kuchenną, w której brakowało palnika. Był to piętrowy dom należący do niezwykle zamożnego kupca handlującego płodami rolnymi. Starsze małżeństwo z góry zapowiedziało, że nie wolno mi korzystać z ich kuchni. Później odkryłam, że kupują wszystko bez kartek na czarnym rynku i nie chcieli, żebyśmy to zobaczyli, bo podobne zachowania były surowo karane. Na rynku głównym w Breslau przeczytaliśmy na dużej, marmurowej tablicy: „w tym miejscu obcięto toporem głowy dwóm*

*kobietom, które z własnej woli poddały się bombardowaniu, a tym samym naraziły kraj na szkodę”.*

A ja widziałem moment schwywania sklepowego złodzieja. Wyprowadzono z „Żabki” – sklepu wielobranżowego – szczupłego, całkiem zmizerowanego typka. Dwóch misiowatych policjantów stanowczym ruchem wykręciło mu ramiona do tyłu, ale kiedy szli w stronę radiowozu, przyjaźnie ze sobą gawędzili. Złodziej coś powiedział, nawet się uśmiechnął, na co usta większego z policjantów przeszły grymas i powiedział coś nad głową trzymanego w kleszczach uścisku człowieka, a to wyraźnie rozbawiło drugiego policjanta, na co złodziej dorzucił do całej historii jeszcze jedno swoje zdanie. Potem ostrożnie wsadzili go tylnymi drzwiami do furgonetki.

*Dostaliśmy trzy łóżka, właściciele znieśli nam ze strychu jeszcze dwa małe stoły, dwa duże krzesła, dwa tapczany, lustro, ale nie było niczego, czym moglibyśmy się ogrzać. Dostaliśmy dużo dobrego mleka, litr każdego dnia, ale nie potrafiliśmy pić niepodgrzanego płynu w tym zimnie. W styczniu było bardzo zimno, najbliższa restauracja oddalona była o pół godziny drogi, ledwo dawaliśmy radę chodzić tam i z powrotem w tym potwornym mrozie na obiad czy kolację. O mało nie zamarzliśmy bez śniegowców; śnieg sięgał do kolan, a malutka Dalma miała jedynie krótki płaszczyk, który ledwo ją zakrywał.*

Zgłosiliśmy w recepcji, że drzwi lodówki nie zamykają się prawidłowo. Monika, dziewczyna z recepcji o niezmiennym uśmiechu, mówiła tak dobrze po angielsku, że niewykluczone, że spędziła kilka lat w Londynie. A jeśli nie, to tym bardziej należy się jej pochwała.

Przyszła, sprawdza, co się stało. Od razu mówi, że nie może tego naprawić – co nas bardzo rozbawia – w końcu kto by pomyślał, że naprawi nam lodówkę swoimi maleńkimi paluszkami ze starannie pomalowanymi paznokciami, w dodatku każdy na inny kolor. Chociaż, prawdę mówiąc, naprawa byłaby w tej sytuacji rozwiązaniem idealnym.

Wspólnymi siłami badamy lodówkę, jesteśmy zgodni, że się nie zamyka, co nie jest dobre, bo wciąż chłodzi i marnuje w ten sposób mnóstwo energii.

W każdym razie powiadomi fachowców, niedługo się pojawią.

Bardzo miło się uśmiecha, życzy udanego wieczoru.

Spotykamy się następnego dnia – ach, nie udało się jej niczego załatwić, ale nie zapomniała o nas.

I to jest pozytywne.

Nie być zapomnianym. Czy to przez jeden dzień, czy też przez siedemdziesiąt długich lat.

*Nasza gospodyni była wysoką, szczupłą liczącą około siedemdziesięciu lat kobietą, nie dała nam miotły ani szufelki, na początku niczego nie chciała dać, ale po upływie tygodnia sytuacja całkiem się zmieniła, później zobaczyli, że nie mamy żadnych potrzeb, nie jesteśmy ciekawscy,*

*więc i oni poszli w nasze ślady. Pożyczyli nam fajerkę, na której gotowaliśmy kolację. Od tej chwili czuliśmy się dobrze, centralne ogrzewanie i dobrze nagrany pokój był dla nas wymarzo-  
nym dobrobytem.*

Dopiero w tym miejscu rozpocznę swoje dochodzenie. Przeszłość to tylko: imiona, miejsca, daty. Wszystko trzeba umieścić w trzecim wymiarze, jeśli chce zaistnieć także we współczesności; wszystkiego mi brakuje, wyniknąć z tego może jedynie bujanie w obłokach, które być może wysublimuje w marzenie, a może, niech będzie, od razu nazwijmy to fikcją – zbudują ją elementy tego fantazjowania.

Nie mam zbyt trudnego zajęcia.

Ulica nazywa się dzisiaj Raclawicka. Najpierw oglądam ją na Google Maps, wychodzi na to, że wojna całkowicie ją spustoszyła, bo pod znanym mi numerem, naprzeciwko pięknego domu czynszowego, który ostał się na fotografiach z 1910 roku, stoi dzisiaj dom jednorodzinny z płaskim dachem, postawiony na początku lat '60: szary, udręczony i prawie zawstydzony, że takim właśnie muszę go widzieć.

Tożsamość kupca handlującego płodami rolnymi, Meyera, od początku jest owiana tajemnicą, ale istnieje firma o takiej nazwie, choć założono ją w 2000 roku jako bardzo prężne polsko-niemieckie przedsiębiorstwo, a na ich stronie internetowej przechadzają się ulicą z lat '30 młodzi biznesmeni w marynarkach, bije od nich całkowicie zaangażowanie w sprawę i niczym „dwa bratanki” idą pewnie ku wspólnym sukcesom.

Wizja lokalna. Jak to bywa w tych wygodnickich czasach, z pomocą GPS-u. Program rozpoznaje ulicę Raclawicką, pięknie mnie prowadzi, ja tylko podążam za wskazówkami – prawdę mówiąc, co miałbym dziś tam śledzić?

Ulica jest taka, jak wiele ulic Wrocławia. Jedna czy dwie wille. Ten rejon wygląda trochę inaczej, bo stare wille i domy czynszowe zniknęły, a na ich miejscu powstał jakiś czas później dom. Tak najłatwiej je nazywać – „domy”. Bez żadnego cienia oceny. Znalazłem fotografię z 1945 roku z willą przy ulicy Kurfürsterstrasse 48-50: połowa budynku zburzona i dymi. Dobrze, że ci nieszczęśni Węgrzy musieli dalej uciekać – myślę sobie. Z pewnością, nigdy nie można wiedzieć, czy coś odczuwane jako złe nie jest znacznie lepsze od czegoś innego.

Przyjemne, letnie popołudnie w willowej dzielnicy, spędzone na przejażdżce małym autem w tym wciąż jeszcze obcym, ale ciekawym i odczuwanym w pewien sposób jako moje, mieście. Prawdziwie ekscytujący stan jakbym miał wodę sodową we krwi.

A potem na miejscu. Dwa płaskie budynki, ale zostaniemy przy słownikowej nazwie – domy; wybudowano je mniej więcej w latach pięćdziesiątych. Z wyglądu przypominają domki górnicze, ale sama dzielnica, zważywszy nawet na socjalistyczny koloryt, i tak jest elegantsza niż one.

Trudno mi sobie cokolwiek wyobrazić, bo wtedy, mroźną zimą, nic nie było takie jak dziś. Stopy mego dziadka i ojca nie dotknęły tego asfaltu, nie zatrzasnęła się za nimi ta brama, nie położyli dłoni na tej klamce.

Na bazie tej „to-tal-nej pust-ki” muszę sfabrykować jakieś post-wspomnienia, ułożyć jakąś fabułę z tych skromniutkich informacji, które zapisała moja babcia.

O ile to, co opisała, właśnie takie było.

Stanisław z biura obsługującego Europejską Stolicę Kultury jest bardzo zaangażowany w projekt. Robi wielkie oczy, kiedy podtykam mu pod nos kartki na jedzenie. Natychmiast proponuje, żebym poszedł do audycji radiowej, dedykowanej młodym odbiorcom, bo jest to coś, o czym powinni usłyszeć. Bo, mówi kręcąc głową, to jest coś charakterystycznego dla historii Polski, zwłaszcza dla Wrocławia, przed 1945 rokiem niczego podobnego nie było. Właściwie był taki czas – XIX wiek. Ale pięćdziesiąt lat wypadło z historii. To taka maleńka mozaika, ci tułający się (podróżujący) tutaj przez przypadek Węgrzy na przełomie 1944 i 45 roku, ale wtedy też.... Byli tutaj. Został po nich ślad.

Co prawda, ci, którzy mogli ich zobaczyć, ci, z którymi rozmawiali, których spotkali, którzy wydawali im rozkazy lub byli dla nich dobrzy, zniknęli kilka miesięcy po nich.

Nie jest przypadkiem, że tytuł jednego z dużych programów kulturalnych to „Void”, czyli „Puste miejsca”. Bo Wrocław jest do dzisiaj pełen pustych przestrzeni i cierpi z powodu takich miejsc, nawet jeśli tubylcy nie są do końca świadomi ich istnienia. Mowa o miejscach namacalnych i intelektualnych, o miejscach wszystkiego i wszystkich, którzy zniknęli, których dzisiaj nie ma.

*Spacerowaliśmy zawsze w innym kierunku miasta, by zjeść obiad lub zrobić zakupy, niczego nie można było dostać, wszystko wydawano na kartki. Po usilnych staraniach dostaliśmy kartki na ubrania. Kupiłam Károlykowi bardzo ciepłą czapkę i rękawiczki, a dla Dalmy i dla mnie bieliźniane podkoszulki. Bardzo się z tego cieszyłam. Oddaliśmy do czyszczenia piękny, robiony ręcznie biały sweterek Dalmy, żeby go potem przefarbować na bordowo, oddałam też jedyny cieniutki, wełniany sweter Gyuli do odplamienia, bo cały był w żółtych kleksach, po tym jak zawilgotniał podczas podróży na furmanie. Ale wszystko zgubili i już niczego nie odzyskamy. Mały Károly poszedł do szkoły, był szczęśliwy, że może chodzić, przyjęli go do trzeciej klasy podstawówki, ale trwało to tylko tydzień, bo dyrektor pisemnie powiadomił nas, że węgierskie dzieci nie mogą chodzić do tutejszej szkoły. Matej Dalmy też nie przyjęli.*

A sytuacja szybko się zmienia. Nikt nie przewidział, że Rosjanie w ciągu tygodnia posuną się naprzód o trzysta kilometrów i to na najtrudniejszym odcinku frontu. Dziewiętnastego stycznia, o siódmej wieczorem, zorganizowano na uniwersytecie koncert na cześć Węgrów (musieliśmy przedostać się z naszego mieszkania na drugi koniec miasta). Poszliśmy z Gyulą, zostawiając dzieci po raz pierwszy same w domu. Ledwie rozbrzmiał utwór fortepianowy, rozległ się dźwięk alarmu. Pobiegliśmy do piwnicy, zostaliśmy tam dobrą godzinę, był to całkiem solidny budynek,

*a jednak trząst się od spadających w pobliżu bomb. Dzieci w domu też zeszły do piwnicy i zaskoczone ujrzały, ile pyszności przechowuje piwnica: jedzenie, kompoty, wypieki, którymi posilali się domownicy, nie dając im ani okruszka. Wróciliśmy do domu około dziesiątej, połowę drogi pokonaliśmy pieszo, bo każdy tramwaj był przepętniony ludźmi. Piękna jest ta nowa willowa część miasta, bo w śródmieściu same dwu-trzy kondygnacyjne domy z drewnianymi schodami na klatkach i nigdzie nie ma dobrego miejsca, by się gdzieś schronić.*

Wybadałem, że największą lokalną gazetą był dziennik „Schlesische Zeitung”, który wówczas ukazywał się już od ponad dwustu lat. Yhm, yhm – kiwają głowami, ale bardzo możliwe, że nie ma ani jednego numeru w bibliotekach; mimo to podejmiemy próbę. Pierwsze wieści są ponure jak pogoda: gazeta jest dostępna na mikrofilmach, ale tylko do 1943 roku. Co poradzić, to były trudne czasy i twarz układa się w niemiły grymas.

Ale chodźmy chociaż do Biblioteki Uniwersyteckiej, może ktoś coś na to poradzi...

Poza tym dowiaduję się, że próbowano już nawiązać kontakt z profesorem Grzegorzem Soblem, wielkim znawcą tego okresu, może będzie możliwość, żeby się z nim spotkać i porozmawiać.

Biblioteka jest ogromna, trochę wiemy o historii związanej z jej budową: wystarczy, że napomknę o tym, że mamy do czynienia ze znakomitą namiastką wschodnioeuropejskiej korupcji, która przenika wszystko do szpiku kości, ale wszystko wyszło na raz i teraz na wół uniwersytecki zarząd projektu siedzi w więzieniu. Bez wątplenia, budynek jest potężny, ale wszystko jest szare, w więziennym stylu...

Nieoczekiwanie wydarza się cud. Na mikrofilmach jest jeszcze zachowany rok 1944, tak więc można wszystko przeczytać. Podobnie wielką sensacją jest fakt, że profesor Sobel jest na terenie biblioteki, dzwonią do niego i od razu przychodzi.

Tak, jakby przeszłość, której studnia jest najgłębszą z głębin, zdecydowała teraz, że wyjawia to, co w sobie skrywa. A dlatego, że tak żarliwie zanurzyłem w niej swoje wiadro, włożyła mi do środka taśmę z mikrofilmem, a obok dołożyła profesora.

Spotykamy się z nim przed czytelnią.

Biedak, ma chyba jakiś problem z krtanią, bo tak cicho mówi, jakby nie tylko chciał dostosować się do intymnego nastroju biblioteki, ale także informował, że będzie tam mowa o sprawach, o których mało wiemy, więc wypada mówić o nich cicho, bez zbędnego szumu.

A potem okazuje się, że nie ma najmniejszego pojęcia o węgierskim batalionie uniwersyteckim.

Ale skąd miałby mieć taką wiedzę?

Siada, uważnie słucha, co mam do powiedzenia. Kręci głową. Potem przychodzi mu do

głowy pewna książka, „Breslauer Apokalypse 1945”, dwutomowe dzieło Horsta G. W. Gleissa, które też składa się z rodzinnych faksymiliów, nie tylko czerpie z „Schlesische Zeitung”, pojawiają się w niej także „The Times”, „Svenska Dagbladet”, „Der Bund” i „Pravda”. Potem profesor przysuwa się do mnie i mówi jeszcze ciszej, że w dzieciństwie był w Dunaújváros, bo pracował tam jego ojciec i go odwiedzał. Była też jakaś miła kobieta, Frau Ida, szepcze rozentuzjzmowany: „Ja, ja das war Ihre Name, Frau Ida”. Niczego więcej o tej kobiecie się nie dowiadujemy.

Wracamy do dużej czytelni, która teraz, w czasie przerwy wakacyjnej, przypomina cichy cmentarz. Pracownik biblioteki już przygotował taśmę z mikrofilmem z 1944 roku, szybko objaśnia sposób obsługi czytnika. Śledzę, w trybie szybkiego przesuwania taśmy, wydarczenia od pierwszego lipca do 12 grudnia.

Wtedy dotarłem do dnia, kiedy moja babcia napisała pierwsze zdanie: *Do Breslau dotarliśmy dwunastego grudnia, ku naszemu największemu zaskoczeniu nikt nie wiedział, że zjawi się tam taka duża grupa Węgrów. Moje pytania, a przynajmniej przypuszczenia, dotyczyły tego, czy w mieście jednak wiedziano o Węgrach, ktoś musiał przecież rozkazać, żeby tutaj przyjechali, musiano zawiadomić tutejsze władze, że tabor dotarł; trzeba było zorganizować dla nich jakiś tymczasowy kwaterek, a dla nauczycieli załatwić godniejsze warunki, rozdzielić kartki żywieniowe i zająć się administrowaniem spraw przybyszów.*

Sądziłem, że powinienem coś znaleźć na ten temat w gazecie. Cokolwiek.

Jeśli nie całą kolumnę, to chociaż krótką informację.

Nagłówek.

Osobne hasło.

„Schlesische Zeitung” odmalowuje taki obraz grudnia 1944 w Breslau, że obecność wojny jest dla wszystkich jasna, ale też tym piękniej toczy się życie. Albo nie „pięknie”, ale w poczuciu pokoju. Na dwóch pierwszych stronach czterostronicowego dziennika są artykuły o polityce wewnętrznej i zagranicznej, twierdzące, że wszystko w kraju musi być tworzone w sposób wytworny, a Churchill i Stalin, tudzież bolszewicy, mącą. Potem przychodzi kolej na wiadomości lokalne, śląskie grafiki oraz informację, że szef katedry ukończył siedemdziesiąt lat, a dalej opinie o zaskakująco wielu koncertach i przedstawieniach teatralnych, o niemieckim rynku kinematograficznym. Raz gazeta wspomina o tym, że w tych trudnych, wojennych czasach, nakręcono siedemdziesiąt dwa niemieckie filmy. Dalej zawiadomia o powieści Marianne Bruns, zatytułowanej Die Schwestern. Jest też rubryka o zgonach, zwłaszcza o tych, którzy oddali życie z Führera i Heimat i o śmiertelnikach, którzy po prostu wyzionęli ducha. Paserów kartek żywieniowych skazano na śmierć. Na ostatnich stronach zagadki szachowe, krzyżówka i program radiowo-kinowy.



Niedziela. Rozglądam się z balkonu. Moja babcia napisałaby w swoim dzienniku, że na szczęście, mimo zimna i alarmu, mogli pójść na mszę.

To prawda, ochłodziło się, dzisiaj temperatura nie przekroczy trzydziestu stopni.

Jakaś dziewczyna w bluzie z kapturem bawi się piłką z psem. Wykopuje piłkę, pies z rozwichrzonymi na boki uszami pędzi za nią, potem, gdy do niej dobiega, szturcha ją nosem, jakby chciał sam ją kopnąć, w końcu zanosí piłkę w zębach z powrotem.

Obrazek niemal idylliczny rozgrywający się w coraz bardziej panoszącym się świetle dnia.

Nałożone na mnie zadanie każe mi zastanawiać się, z jakimi myślami musiał się obudzić w Breslau mój dziadek następnego dnia po przyjeździe. Miał czterdzieści siedem lat, był z dwójką stosunkowo małych dzieci i żoną, która z oddaniem i znowstwem prowadziła gospodarstwo, ale nie mówiła po niemiecku. A na dodatek powierzono mu studenterię, stu dziesięciu słuchaczy medycyny, którzy przybyli razem z nim.

I to wszystko przy minus osiemnastu stopniach, choć nie wiem, ile dokładnie stopni mrozu wskazywał termometr.

Czuję się trochę mniej przyjemnie, kiedy słyszę jak w czajniku elektrycznym woda pryska dziko na boki, może uda się zrobić kawę, która wreszcie mnie obudzi, ale możliwe też, że na pewne sprawy nie potrafię się obudzić.

Poszedłbym jak zawsze na mszę, gdyby pojawił się głos lub gdyby dotknęła mnie ręka, *Károly, mój Synu, idę, idę* – mówię jej... Gdyby to był głos ojca lub dziadka, prędko puściłbym się pędem.

Zadawałam się niespiesznie fascynującym szelestem liści potężnych topoli rosnących na podwórzu.

Oprócz dziennika pozostało także jeszcze jedno owinięte w karton zawiniątko, podzielone w środku na kieszenie, coś przypominającego portfel, który kelnerzy przytracali dawniej do pasa, ale ten jest zrobiony z papieru. W nim znajdują się przechowane do dzisiaj kartki żywnościowe. Niewykorzystane kartki, które przetrwały, bo w przeciwieństwie do kartek, niczego nie można było za nie dostać lub, przypuszczalnie, grupy uciekinierów nie miały czasu, by je spożytkować, gdy nagle trzeba było znowu się pakować i ruszać dalej w drogę. Niekiedy, w lepszym przypadku, wiedziano, który kierunek można w ogóle brać pod uwagę.

*Nasze wyżywienie jest rozpaczliwie marne. Na pierwsze śniadanie dali nam czarną wodę, wyglądającą jak kawa, od razu ją wymiotowałam. Przez dwa dni nic nie jadłam. Na śniadanie i obiad były jedynie dania jednogarnkowe, ewentualnie buraki pastewne lub ziemniaki z wody polewane brązową bręją. Wszystko bez grama tłuszczu. Na szczęście mieliśmy jeszcze przy sobie resztki własnego jedzenia i nim się posilaliśmy. Kilka dni później dostaliśmy kartki żywniowe i wtedy*

mogliśmy już kupić masło, mleko, bułki, ciemną mękę, która tutaj miała bardzo dobrą jakość. Na obiady chodziliśmy do restauracji, tam też wszystko gotowano bez tłuszczu, stale byliśmy głodni. O dwunastej obiad, o szóstej wieczorem – kolacja. Serwowano wysmienite ciemne piwo (sam słód, zagłuszający nasz głód) i ziemniaki z wody.

Dotąd dwa razy jedliśmy na Rynku, jedno danie lepsze od drugiego.

Nie prosili mnie o kartki na bitki z polędwicy, ani o kartki na beefsteak. Muzyka była ciut zbyt głośna, co zrobić. No i sporo Niemców. Znowu.



Fot. Kartki żywnościowe z 1944 roku

Co by było, gdybym poszedł z tymi ocalonymi kartkami do Kauflandu? Zrobiłbym film telefonem komórkowym.

– Dzień dobry.... poproszę tuzin jajek, świeże mleko, niepastewne ziemniaki... Proszę, tu mam kartki.

– Czy Pan żartuje, proszę Pana?

Lub:

– Proszę pokazać... Chwileczkę, zapytam kierownika...

– Ale proszę zobaczyć, jest napisane „Breslau”, a „Karl Méhes” to ja. I jestem głodny, zjadłbym ziemniaka z jajkiem, a do tego mleko...

- Proszę Pana.... tutaj nie ma żartów.
- Nie żartuję. Mój dziadek i babcia je dostali. Wszystko jest na nich napisane, można odczytać.
- Oczywiście, oczywiście. Ale jest też napisane, przecież Pan widzi, rok 1944/45. Termin już dawno minął. Siedemdziesiąt dwa lata temu.
- Tak, ale...
- Czego Pan teraz chce?
- Są sprawy, które nigdy nie tracą daty ważności. Nigdy nie przeminą. To można wiedzieć. Często się o tym mówi. One nie przeminą.
- No dobrze, koniec tego dobrego. Wychodzi Pan, czy mam wezwać ochronę.
- A co mam zrobić z kartkami?
- Wie Pan co? Niech pan je zje.

Na zewnątrz mocno świeci słońce.

Znowu słyszę głos babci.

Jakże to było okropne. Wymawia to „o” przeciągle, żeby brzmiało możliwie strasznie.

Coś, co u Prousta jest magdalenką zanurzaną w herbacie, w Europie Środkowo-Wschodniej przybiera kształt niezmiennego systemu kartkowego.

W końcu kupiliśmy wódkę, piwo, kawę rozpuszczalną, jogurt, mrożone pierogi, wodę, orzeszki, papier toaletowy, ręcznik papierowy. Acha, no i wafelki.

Usiedliśmy na zewnątrz, na tarasie kawiarni, na ulicy Katedralnej. Przyszła rodzina, taka rodzina. Tatuś, mamusia, starsza córka i syn, na oko ośmiolatek. Turyści, z plecakami, bidonami i aparatem na szyi.

Oczywiście (dlaczego tak mówię?) to Niemcy, zanosząc się chichotem, w końcu przyjechali na wycieczkę, są na urlopie, a wakacje to rzecz najważniejsza na świecie. Tak mogła wyglądać rodzina Méheszów w 1944 roku, w grubych zimowych płaszczach i w odmiennych okolicznościach.

Nie mam ich zdjęcia. Zachowały się jedynie dwie fotografie mojego dziadka, jak wsiada w kapeluszu, długim płaszczu do wagonu i jak częstuje kogoś papierosem. Kto te zdjęcia zrobił, nie wiadomo.

Kelnerka wylała na mnie piwo, które przyniosła.

Kompletnie przerażona pyta: *Everything all right?*

Co miałbym jej odpowiedzieć? To zależy?

*Yes, yes. Almost all right.*



Fot. Dr Gyula Méhes

Oglądam twarze, szukam starszych ludzi. Wychodząc z błędnego założenia, że ktoś z nich mógł widzieć moich dziadków. Musiałby być dzisiaj bardzo sędziwą osobą, przynajmniej w wieku mojego dziadka, koło osiemdziesiątki, tyle by miał, gdyby żył.

Nie wiem dlaczego, ale lubię myśleć, że przechodzi obok mnie powolutku jakaś kobieta lub mężczyzna, ktoś, kto tamtej podłej, mroźnej zimy, u końca wojny był małym dzieckiem, zastanawiam się, czym się martwił. Jego też niosła na rękach mama lub tata, szli, żeby stanąć w kolejce po ziemniaki czy drewno na opał i wtedy minął ich w pośpiechu mój dziadek zaaferowany sprawami lub babcia z Dalmą i w jednej krótkiej chwili spojrzeli sobie w oczy.

Nic więcej.

Powinno mnie dziwić, że nie ma niczego więcej. Nawet tego.

Bo potem ich schwytano, wszystkich, którzy byli breslauerami i wywieziono stąd, a na ich miejsce przyszli ze wschodu inni, bo tamci z kolei mieli zniknąć ze swoich stron, tyle tylko, że ci nowi nie stali się breslauerami, bo Breslau przestał istnieć, zostali wrocławianami.

Moi dziadkowie jeszcze zdążyli objechać w połowie objętą wojną Europę i w 1946 roku dotarli do miejsca, w którym przedtem nigdy nie byli, do Peczu. Powiedzieli im, że tam właśnie mają się udać.

I stali się Peczeńczykami.

Zrobiliśmy sobie spacer do dzielnicy żydowskiej, czy raczej do dawnej dzielnicy żydowskiej. Na próżno stoi synagoga Pod Białym Bocianem (taką nazwę nosiła gospoda, która najdo-

wała się na tym miejscu przed bożnicą) i otaczające ją sklepiki, restauracja, że tak powiem, sproflowane żydowsko. Bo, tak jak w przypadku całej wspólnoty polskich Żydów (i zostawmy to uogólnienie), nie ma co mówić o wrocławskich Żydach. Nie ma wrocławskich Żydów, wszyscy Żydzi z Breslau zginęli w krematoriach.

Na dziedzińcu synagogi hałasują robotnicy. Taszczą okrągłe blaty stołów do sali głównej, wioząc je na małych wózkach, potykają się na kocich łbach. A w środku na każdym piętrze wystawa: rysunki dziecięce z Izraela, kronika języka i literatury jidysz, emancypacja Żydów z Breslau, słynne osobistości lokalnej wspólnoty żydowskiej. Zgodnie z tablicą umieszczoną na dziedzińcu z tego miejsca w latach 1941-1944 deportowano całą miejską wspólnotę żydowską.

W ten sposób doszedłem do tego, że moi dziadkowie, przyjeżdżając do Breslau 12 grudnia 1944 nie mogli zobaczyć już żadnego przedstawiciela gminy.

Najprawdopodobniej ani jednego.

Teraz – sam nie wiem. Przy wejściu siedzi jakiś znudzony człowiek w stroju ochroniarza.

No i są robotnicy taszczący blaty stołów.

Poszliśmy też do domu Edyty Stein. Żydowska dziewczyna z Breslau, która przeszła na katolicyzm, została mniszką, uciekła do Holandii, tam ją aresztowano, otrzymała list ochronny, przyjechała z powrotem do Breslau i stamtąd została wywieziona do Auschwitz, gdzie zginęła. Ostatni raz widziano ją na tutejszym dworcu kolejowym.

W 1988 roku została kanonizowana przez Jana Pawła II i stała się jedną z patronek Europy.

Wolontariusz pracujący w domu powiedział, że najwięcej odwiedzających to Niemcy, potem Holendrzy, Francuzi, Anglicy. Polacy? Cóż, ich tu nie uświadczysz. Sądzi, że dla nich Edyta Stein pozostała tą, którą była. Niemką i Żydówką. Ale możliwe też, że o niej nie wiedzą i na koniec wzrusza ramionami.

*Szybko zbliżało się Boże Narodzenie. Na próżno obeszliliśmy całe miasto w poszukiwaniu drobnych prezentów, niczego nie dostaliśmy. Niestety nie mieliśmy jeszcze mieszkania, zostaliśmy tam, w noclegowni. Każdego dnia Niemcy przynosili choinki, ale nam nie dali ani jednej. Matka Dalma wyprosiła na ulicy czterdziestocentymetrową świerkową gałązkę, postawiliśmy ją tam, gdzie mieliśmy miskę i to było wszystko. A dla Károlyka prościutką armatkę. W dużej izbie postawiono wyschniętą, całkiem łusą choinkę dla Węgrów. Żałosne, smutne drzewo, podobnie jak my. Przyszła pani z kuchni i każdemu z dzieci dała jabłko. Károlyk dostał zupełnie zielony owoc. Tutaj owoce to wielka rzadkość – powiedzieli – powinniście się z tego cieszyć.*

Kiedy latem 1978 roku pierwszy raz przyjechałem do Polski z moją rodziną, mój młodszy brat, Márton, miał cztery lata i był całkowicie zakochany w polskich syrenkach. Stale wy-

patrywał, czy nie jedzie syrenka, a kiedy jechała, a jeździły, bo wiele ich sunęło brukowanymi ulicami Krakowa, cieszył się, jak tylko potrafi cieszyć się czterolatek.

Syrenka stała się autem kultowym jak wszystko, co było częścią i produktem dwudziestu pięciu lat zrujnowanego socjalizmu. Z pewnością we wrocławskim sklepie z zabawkami można kupić czołg, ale mój wzrok przykuwa model syrenki, 19 złotych, 1400 forintów, niedużo, choć za tę kwotę można kupić posiłek dla dwóch osób w barze „Miś” – barszcz i pierogi; oczywiście, o ile można przeliczać zabawki na auto-zabawkę. Choć obie te sprawy wywołują silne emocje.

A dopiero dzisiaj, prawie po upływie tygodnia myślę wreszcie o polskiej linii, ściślej mówiąc o krwi, która we mnie płynie.

Rodzina mojej matki nosiła oryginalnie nazwisko Besenszky, co wydaje się podejrzane i wskazuje na polskie korzenie. Mojemu Dziadkowi, Sándorowi Besenszkyemu w czasach podchorążówki poradzono, żeby wybrał nazwisko brzmiące bardziej węgiersko i stał się bardzo węgierskim Besenyő. Wpisuję je przy każdej okazji w rubryce „nazwisko matki”, nie mogę zaprzeczyć, że optakuję formę „Besenszky”.

Moja pochodząca z Gyöngyös babcia nosiła nazwisko Lengyel (polka – przyp. tłum.), na dodatek Hermina. Nie potrafię zbadać, jak we wcześniejszych pokoleniach dobierały się małżeństwa, jak zmieniały się nazwiska, ale samo znaczenie tego nazwiska pozwala nam przypuszczać, że kiedyś, dawno, dawno temu musiała przybyć z Polski i na pamiątkę przybycia pozostał ślad w nazwisku, bo czym innym to tłumaczyć?

Natomiast mój wspomniany wcześniej młodszy brat, Márton, wiele lat później wziął sobie za żonę Polkę, która – co za przypadek – pochodzi z okolic Wrocławia, z Buguszyca, i uczęszczała na tutejszy uniwersytet.

Okręgi, bez względu na to, ile to trwa, wracają do swoich początków.

Nawet jeśli nie istnieje coś takiego jak powrót do konkretnego miejsca, to na pewno istnieje powrót symboliczny.

*Począwszy od tego dnia życie stało się pełne emocji. Ludzie bardzo bali się bombardowania. My, biedni Węgrzy, tylko się dziwiliśmy, te trzy małe rosyjskie bomby były niczym w porównaniu z bombardowaniem Budapesztu. Co prawda tutejsze domy są bardzo słabej konstrukcji i dużo w nich drewnianych elementów, więc łatwo ulegają samozapłonem. W sumie byliśmy w Breslau sześć tygodni, dobrze nam zrobił ten prawdziwy nastrój pokojowego spokoju po budapeszteńskich przeżyciach. Na początku brakowało nam wielu rzeczy w tym naszym nędznym przyczółku, ale potem, przez trzy tygodnie, kiedy mieszkaliśmy w pięknej dzielnicy, żyliśmy bardzo dobrze. Cieszyliśmy się solidnie nagrzanym pokojem, wysypialiśmy się, wikt był jesz przyzwoity, alekiedy posilaliśmy się poza domem, często czuliśmy głód, bo restauracyjne posiłki przyrządzane były bez tłuszczu.*

Przyjechaliśmy tydzień temu, a wydaje się jakbyśmy byli tu przynajmniej miesiąc. Wszystko sprawnie działa, wszystko ma swoje miejsce, parę rzeczy, których nie znaleźliśmy w mieszkaniu, kupiliśmy. Ostry nóż, ścierkę kuchenną.

Wczytując się w dziennik babci nie zaszkodzi pomyśleć jak wielka jest różnica pomiędzy jedną obcą kuchnią, w której przychodzi nam gotować w zawierusze historii, a drugą obcą kuchnią. Jak dobrze, że nie musimy naszej z nikim dzielić – mówię. Możliwe, że to, co napisałem wcześniej brzmi butnie, bo jak byśmy się zachowali, gdyby od jutra miał do nas dołączyć stypendysta-uchodźca z Afganistanu, bo nie byłoby dla niego gdzie indziej miejsca, a tutaj jest jeszcze jedna kanapa, na której mógłby spać. No dobrze, to nie będzie Afgańczyk, ale Mołdawianin.

Przedmiot poważnych refleksji.

Wstaję. Woda z cytryną, kawa, jogurt. Miła wygoda. Drzwi balkonowe są otwarte, na próżno, bo nic to nie daje, lato to lato, jest ciepło, do środka wdziera się nowy dzień, szeleszczą drzewa w parku, na skrzyżowaniu dzwoni tramwaj.

Jest ósma rano, siedzę przy komputerze i próbuję posklejać te moje dwa światy; dobrze byłoby stać się moim dziadkiem, przynajmniej w wyobraźni, choć to czczya fantazja. W sytuacji, kiedy wszystko mam, niesamowicie dobrą umiejętnością byłoby umieć wytworzyć w wyobraźni świat, w którym niczego nie ma.

Rozmyślam raczej nad tym, czy potrafili się przyzwyczaić do tego swojego życia, mimo że trwało tydzień lub dwa. Czy Breslau znaczyło dla nich coś więcej niż tylko jeden z wielu postojów?

Czy kiedy skończyli swoje miejskie peregrynacje, nerwową gonitwę w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, stanie w kolejce, załatwianie spraw beznadziejnych, mówili: no dobrze, wracajmy do domu?

Jest potwornie zimno, dziecinko,

Chodźmy szybko do domu.

Zrobiłem sobie spacer do Biedronki i odkryłem, że skończyli naprawę chodnika. Kiedy tydzień temu przyjechaliśmy, wszystko jeszcze było rozryte, trzeba było przechodzić na drugą stronę jezdni, a teraz: gotowe.

W ciągu tygodnia wrocławska ulica Kościuszki wypiękniała.

A kiedy jestem czymś pochłonięty (zagarnia mnie studnia przeszłości) nagle przychodzi mi to do głowy, że moi dziadkowie w 1944 roku chodzili po ulicach, ale myśleli coś innego: „ojej, tutaj wczoraj był jeszcze chodnik...był sklep...był dom...!”

Ja chodzę po nowym bruku.

Tak porządnie go położyli.

Wspięliśmy się na wieżę kościoła Marii Magdaleny, na taras widokowy. Trzyście pięter, 228 schodów. To już prawdziwy wyczyn...

I znowu ta myśl: czy moi przodkowie weszli tutaj w 1944/45 roku? A jeśli tak było, to bardzo dobrze, choć nie wiem, nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

A właściwie dlaczego mieliby tutaj wchodzić?

W czasie wojny, zimą, przy minus osiemnastu stopniach. Nie mieli przecież ciepłych płaszczy.

Wspiąłem się bohatersko i teraz się rozglądam.

Po dziesięciu dniach cała ta okolica nie miała już swojej topografii. Spoglądam w dół jak ktoś, kto przeżył tu pół swojego życia; a może samego siebie chcę o tym przekonać, przecież jestem u siebie, ten Boroszló/Breslau/Wrocław siedzi we mnie genetycznie i teraz, w tej chwili czuję jak wzbiera we mnie „bycie wrocławianinem”.

Tak, jakby razem ze mną wspięli się, żeby podziwiać miasto mój tata i ośmioletni Károlyek. I wszyscy mamy zawroty głowy od tej wysokości.

A Károlyek wreszcie nie marznie. Tylko ja mam dreszcze, choć jest trzydzieści stopni Celsjusza.

Na Rynku w niedzielne przedpołudnie odbywa się uroczysta przysięga żołnierska.

Przez godzinę żołnierze paradują w tę i z powrotem pomiędzy ratuszem i starymi kamieniczkami.

Młodzi oficerowie i oficerki jak spod igły, bardzo eleganccy we wspaniałych lakierowanych butach, stają się dzisiaj tymi, którymi chcieli być, skończył się czas przygotowań.

Orkiestra dęta odmaszerowała z tamburynistą na czele i tym samym prysł nastrój wojskowej dyscypliny. Już nie wykrzykiwali do mikrofonu komend „Batallion, passage!”. Oficerowie, mężczyźni i kobiety obrócili się do siebie i zaczęli się klepać po ramionach, przytulać, bo byli niezmiernie szczęśliwi, ich twarze jaśniały, bo w czasach pokoju wspaniale jest być oficerem-żołnierzem.

W czasach pokoju nie można sobie wyobrazić wojny. Ani wtedy, kiedy ktoś setny raz z rzędu czyta wojenny dziennik babci.

Bo w czasach pokoju jest zawsze pokój, a w czasie wojny tylko wojna.

Każdy ma zrobione zdjęcie, żeby uwiecznić ten dzień; i niech taki zostanie, na zdjęciu zawsze będzie pokój.

Poszliśmy na obiad: na pierwsze danie zamówiliśmy żurek, na drugie – pierogi.



Były student farmacji, dr József Laszlovszky, w styczniu 1995 roku opublikował w piśmie „Farmacja” swoje wspomnienia. Oczywiście są one bardziej precyzyjne i rzeczowe niż dziennik mojej babci i spisano je znacznie później z innego punktu widzenia, bo w pięćdziesiątą rocznicę wydarzeń. U niego pojawia się informacja, że w auli Technische Hochschule (na dzisiejszym placu Grunwaldzkim) po inauguracji, która miała miejsce 6 stycznia, 10 stycznia rozpoczęły się wykłady. „Miejsce brakujących profesorów budapeszteńskich zajął dr Gyula Méhes – profesor farmacji sprowadzony wraz z rodziną z Kolożwaru, który wykładał nie tylko farmakologię, ale także przedmioty niezawarte w oryginalnym programie: metabolizm leków i toksykologię”.

Potem József Laszlovszky napisał list do mojego ojca, który zaczynał się słowami: „Jestem jednym wśród tych ówczesnych słuchaczy farmacji, którzy dzięki trosce pana świętej pamięci ojca pięćdziesiąt lat temu wrócili z niemieckiego zesłania. Dobrze Ciebie pamiętam, byłeś chłopcem w wieku szkolnym, pamiętam Twoją siostrę, Dalmę, Waszą mamę, po której często było widać jak wiele poważnych problemów wynikłych z tej sytuacji nosi w swoim sercu. Od tamtej pory spotkałem tylko Twojego ojca (...). Na zjazdach absolwentów wspominamy go z wdzięcznością. Jego niezwykle odpowiedzialnej, trzeźwej trosce i współpracy z jego pomocnikami zawdzięczamy nasz powrót do kraju w zdrowiu. (...) Dziwnie to zabrzmiało, ale w kontekście okropności, które wydarzyły się w Dreźnie i Halle w gronie studentów medycyny i przyszłych inżynierów, losy studentów farmacji wydają się zwykłym wyjazdem za granicę”.

*W niedzielę 22 stycznia niemal całe miasto uciekło. Każda osoba mogła wziąć ze sobą piętnaście kilogramów, trzeba było iść w tym strasznym zimnie pieszo po zosie. My też się spakowaliśmy, tylko podręczne rzeczy. Chwała Bogu, udało się dostać przydział na siódmy wagon i mogliśmy zabrać wszystkie nasze manatki. Wielkim przeżyciem było stanie na minus osiemnastostopniowym mrozie od poniedziałkowego poranka 8 stycznia do czwartej po południu i ładowanie rzeczy do wagonu. Szczęście polegało na tym, że byliśmy na bocznym peronie, od zewnętrznej strony, poza tym, co można było zaobserwować, tysiące uciekinierów czyhających na nasz środek transportu. Sami dźwigaliśmy nasze ciężkie bagaże, później utknęliśmy i marzliśmy. Cały dzień bez jedzenia, Károlyek płakał, że już dłużej nie da rady. 23 stycznia, w poniedziałek o czwartej po południu byliśmy w końcu gotowi i wsiedliśmy do starego, francuskiego wagonu. Nie było korytarza, wyglądało się bezpośrednio z przedziałów. Było potwornie zimno, minus dwadzieścia stopni, później marzliśmy z powodu przeciągającego się odjazdu i od zmęczenia dźwiganiem. Ale cieszyliśmy się, że siedzimy w środku. Podeksycytowani czekaliśmy aż ruszymy. Ale stale to odwlekano, kazano nam wysiąść, żeby nasze miejsce mogli zająć niemieccy uchodźcy. W końcu w poniedziałek 23 stycznia, po północy, około godziny pierwszej ruszyliśmy w drogę. Zaskoczeni zauważyliśmy, że trzy wagony z naszymi rzeczami zostały na peronie (siedziało w nich dwudziestu studentów medycyny), ale obiecano nam, że te wagony dołączą do składu, który wyruszy nazajutrz o szóstej rano, bo ten pociąg też ma jechać do Halle. To oddzielenie od bagaży trochę nas zmartwiło, bo został tam nasz duży, podręczny kosz. (Ponieważ inni mieli ogromnie*

*dużo bagażu, Gyula zdecydował, że nasz kosz z jedzeniem umieścimy w innym wagonie. Będzie blisko nas i na każdym postoju możemy coś sobie z niego przynieść. W tym koszu było pełno wszystkiego: dwa kilogramy cukru, wielki sój powideł brzoskwińowych z naszej miejscowości, słoik syropu malinowego, trzy butelki płynu do dezynfekcji ust „Odol”, trzy butelki tranu, trzy butelki octu, prawdziwa lawendowa woda kolońska, dwie filiżanki, dwie szklanki – dla nas były to nieocenione straty. Słonina, ciasto na maśle i chleb na drogę. Małą szklaneczkę rumu Gyula wypił w ostatniej minucie przed odjazdem i to był ostatni alkohol, który mógł wypić. Koszyk ostatecznie zaginął, chłopcy po trzech dniach drogi wszystko zjedli. A my jeszcze długie dwa miesiące nie mogliśmy tego kosza odzłować.*

Podróż, a może ucieczka, toczyła się dalej w Dreźnie, Halle, Grazu, Leonben i w końcu w Adolfdorf (obok Monachium), gdzie 1 maja 1945 roku wyzwolili ich Amerykanie. Kto zaś jeszcze przez kilka miesięcy nie mógł otrzymać pozwolenia na grupowy powrót do kraju, wrócił dopiero po roku, 17 października.



Fot. Plac Széchenyiego w Peczu w 1946 roku

Związek studentów na uchodźstwie kilka dni później, 22 października, wystosował memorandum, które trafiło do ministra. Stało w nim między innymi:

„Niżej podpisani zaświadcją, że dr Gyula Méhes, nauczyciel akademicki, przewodzący wysiedlonej do Niemiec grupie farmaceutów w czasie niemieckiej niewoli, wielokrotnie naraził własne bezpieczeństwo i zdecydowanie sprzeciwił się niemieckim i koalicyjnym rozkazom, na mocy których pozostająca pod jego opieką węgierska grupa miałaby zostać włączona do „Volksturm”, jednostki wojska niemieckiego lub pozostać do dyspozycji wojsk niemieckich. Dzięki jego staraniom udało się uchronić sto dziesięć osób reprezentujących uniwersytecką brać farmaceutów przed doznaniem niemieckiej przemocy wojennej”.

I na dowód, że czasami dobrze jest otrzymać nagrodę albo przynajmniej być gdzieś odnotowanym, dopisano dalej kilka linijek skreślonych ręką profesora peczeńskiej farmacji, Gézy Mansfelda, który po przeżyciu obozu koncentracyjnego napisał w Genewie: „...kiedy mnie deportowano i on, jako uchodźca z Kolożwaru otrzymał polecenie od ministra spraw zagranicznych, żeby przejął mój wydział, grzecznie odmówił i pozostał bez pracy, bo nie chciał uczyć w niezgodzie ze swoimi przekonaniem. Dlatego musiał przyjąć powołanie do wojska i udać się na zachód, chociaż, gdyby przejął mój wydział, mógłby pozostać w Peczu”.

Mógłby spokojnie zostać w Peczu.

Ale nie byłby wówczas uchodźcą, na próżno ktoś wałęsałby się po w połowie zajętej przez wojnę Europie. A palec losu, mały palec, paluszek i tak natrafił nagle na mapie na tę, kto wie jak maleńką kropkę, nieznanne miasto Peczu, wskazując, że właśnie tam trzeba jechać.

Géza Mansfeld był starym i schorowanym człowiekiem i nie mógł, a może nie chciał już wrócić ze Szwajcarii do kraju. Zaproponował więc własną posadę na peczeńskim uniwersytecie swojemu następcy, Gyuli Méhesowi. A ten jesienią 1946 roku, rozpakował ocalone resztki ich dobytku i potelepał się do Peczu.

Mój ojciec wielokrotnie powtarzał, jak zachłysnął się cudownym widokiem Peczu – widzianego od strony Mecsek, ocalonego od wojny, cichego i pogrążonego w zmierzchającym świetle.

To oczywiście czysty przypadek, ale (służbowe) mieszkanie, w którym mieszkali później piętnaście lat, znalazło się na ulicy Bohatera.



Fot. Gyula Méhes, Dalma Gyöngyösi, Dalma Méhes, Károly Méhes w 1943 roku

Wrocław 1-14 lipca 2016.

## A boroszlói folytatás

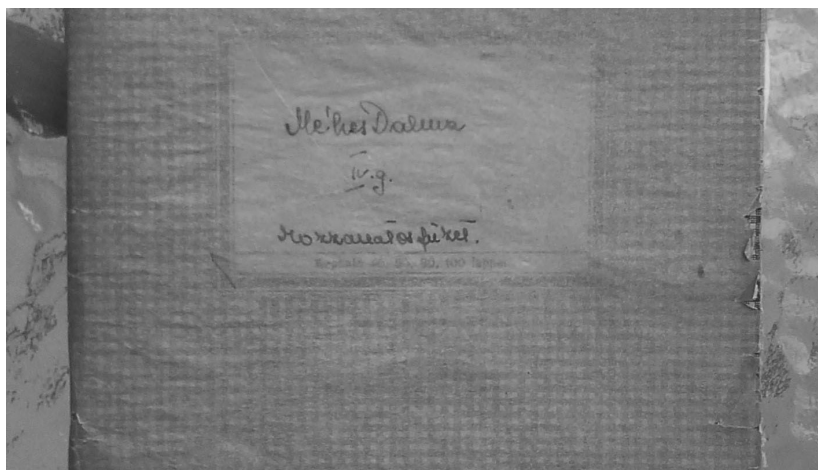
*Jaj, édes gyerekem, de bórzasztó volt...!*

Nagyanyám szeretett sopánkodni, de belegondolva a vele egyidős huszadik századi történésekbe, még a nyolcvanas években is volt miért borongania.

Ült a konyhában, rizst válogatott.

Eszébe jutott ez-az, régről. Mondjuk, Breslau. Azt sem tudtam, mi az.

Amikor hozzám került az 1944-es naplója, mert apám nekem adta, mondván, esetleg érdekel, szoktam szeretni az efféle történeteket, hát fogtam, kissé borzongva elolvastam, aztán eltettem a pakkot biztonságos helyre.



Napló - Gyöngyösi Dalma

Egy szürke kockás fedelű, amúgy vonalas, A5-ös iskolai füzet, zsírpapírba kötve. Ez áll rajta: Méhes Dalma – IV. g. – Mozzanatos füzet.

Tény és való, néhány mozzanat került benne megőrkítésre.

Első oldal: Isten nevében! – Bp. 1944. okt. 25.

Második oldal: I. Vörösmarty szózata (!) hazaszeretetre buzdítja a nemzetet. II. Miért kell a hazát szeretni? 1. A nemzet küzdelmét és dicsőségét állítja elének.  
És így tovább.

Harmadik oldal: itt kezdődik a napló.

*Úti feljegyzések! 1944. Február, Március hónapban Kolozsváron laktunk. Gyakori bombázások miatt az iskolai évet befejezték április elején. Gykezeltünk a háztartást is leszerelni, a nagyhéten mostunk vasaltunk, hogy a lehető legnagyobb rendben csomagoljunk és menjünk ki Krasznára, nyugodtabb életet élni. Nagypénteken este 10-kor ismét nagy ellenséges gép átvonulás volt Kolozsvár felett, és már naponkint ismétlődött, de szerencsére még a várost nem bombázták. Nekem mint anyának és háziasszonynak a legnagyobb gondjaim voltak, hogyan lehetne úgy összecsomagolni, hogy mindenkinek minden jó legyen.*

Mert hogy erről kellene szólnon az élet...

Néha elővettem a naplót, belelestem, érezvén, hogy különös kincs, jó lesz majd valamire – egyszer.

És ezek szerint így kellett legyen, hogy eljőjjen ebbe az ismeretlen Breslau-Wroclawba, amiről közben az is kiderült, hogy magyar neve is van, Boroszló. Nyögte Máttyás bús hadát 1474-től néhány évig.

Egy boroszkáló ló... 542, azaz mit is akarok mondani, 72 évvel később.

Amikor kiderült, hogy Wroclaw lesz 2016-ban Európa Kulturális Fővárosa, a Pécsi Író-program fél évtizede működött már. Adódott a nagy ötlet, hogy ha már így, csináljunk valami közöset.

Így lett a „csinálásból” folytatás.

\*\*\*

A számomra legfontosabb négy főszereplő:

**Dr. Méhes Gyula** (1897-1970) – orvos, gyógyszerész. Egy erdélyi vízimolnár fia, akire az akkori szokás szerint a helyi tanító és pap azt mondta, jó feje van, menjen, hadd tanuljon. Ment. Az orvosi diploma után továbbképezte magát Bécsben, Londonban, dolgozott Szent-Györgyi Albert mellett. 1929-től a frissen alapított tihanyi Halbiológiai Kutatóintézet egyik vezetője. Amikor 1940-ben a II. Bécsi Döntés értelmében Észak-Erdélyt visszacsatolják Magyarországhoz, a Kolozsvári Egyetem Gyógyszerészeti Karának élére nevezik ki. Négy évvel később innen kell menekülniük.

**Gyöngösi Dalma** (1900-1987) – egy vidéki táblabíró és egy lecsúszott nemesi családból származó anya második gyermekeként az „úrilányok” életét élte egészen 30 éves koráig. Noha személyzet volt a háznál, ő is megtanult sütni, főzni, varrni, hímezni. Két öreg és kövér helybéli földbirtokost is kikoszarozott, félő volt, hogy vénlány marad, mikor az elcsatolt Krasznára hazalátogató Méhes Gyula megkérte és feleségül vette. Tihanyban éltek. 1931-ben született Dalma lányuk, majd 1936-ban fiúk, Károly.

Dr. Méhes Dalma (1931-1995) – gyermekgyógyász. Szikrázóan okos és szép, öntörvényű és egyben önpusztító keresztanyám. Gyermekorvos lett, neki sosem született saját gyereke. Minden, amit mondott, elképesztően érdekes volt, ahogy viselkedett és másokkal bánt, szinte elviselhetetlen.

**Dr. Méhes Károly** (1936-2007) – gyermekgyógyász, humán genetikus. Nehéz írni egy apáról, de annyit hallom a mai napig is, milyen volt, hogy csak ismételnem kell. Vagyis majdnem mindig és mindenben kitűnő, a vívástól a minor anomáliák kutatásán át a védőnői rendszer megszervezéséig. Igyekvő, de nem törtető, szerény, ám nem tutyimutyi. Apaként is legjobbat akarta mindig, ebben biztos vagyok.

A kezdet: legyen elég annyi, hogy 1944. november 29-én kiadott rendelet értelmében a Kolozsvári Egyetem Gyógyszerészeti Kara is beleesett abba a kormányzati elképzelésbe, hogy a vidéki egyetemi ifúságot – részben mentendő a háborúban való részvételtől, ami, valljuk meg, már-már emberbaráti körütekintést feltételez – a közelgő front és folyamatos bombázások elől ki kell telepíteni Németországba. Így a 4230/1944 rendelet részlete: „A hadihelyzet szükségessé teheti egyes egyetemi tanfolyamoknak az egyetem székhelyétől távol, illetve az ország területén kívül történő megrendezését”. Dr. Csilléry András kormánybiztos (eredetileg fogorvos, tanulmányait többen között a boroszlói egyetemen folytatta...) elsősorban vidéki, főképp pedig a kolozsvári egyetem tanárait jelölte ki, egyrészt azért, mert még eléggé fiatalok voltak (dr. Méhes Gyula 47 éves), másfelől azért, mert már amúgy is lakás és háztartás nélkül, menekülőben voltak egy ideje. Csilléry egyben kijelentette, katonai vonalon fogja intézni ezt az ügyet, a haditörvények alapján, a családtagokra is kiható büntető rendelkezésekkel együtt. Ezért, ahogy nagyanyám le is jegyzi, a tanszemélyzetet és hallgatókat is SAS behívóval katonai szolgálatra hívatva be és osztotta Egyetemi Zászlóaljba. Csilléry Budapesten efféle szöveget intézett a hallgatókhoz: „Kiviszlek benneteket Németországba, apátok helyett apátok lesztek, és a viszály elmúltával visszatérünk újjáépíteni Magyarországot.”

**Dr. Walsa Róbert** (1923-2000) egykori orvostanhallgató így emlékszik vissza mindeerre: „A feladatokat Csilléry kormánybiztos akként határozta meg: megtanulni németül, diplomát szerezni és végül kimenni a frontra.”

Szegény mama kissé másképp képzelte el, hogy ha már menni kell, akkor abban legyen valamiféle nagyság...

Arról volt, szó, hogy Ribentrop meghívta a magyar tudományt Németországba „vendégnek”. Gyulának előre megmondták, hogy készüljön, mert ő biztosan megy az orvoskarral. Nagy izgalmában volt én, hogy mitévő legyek. Ha Pesten maradok a két gyermekkel, az egy örökre szóló elváltást jelentene. Csak reménykedtem, hogy hátha nem kell menjünk. Sajnos, az események olyan gyorsan zajlottak, hogy december 5-én, szerdán este 11-kor kézbesítette a postás a „Sasos” behívót. Hirtelen kerítettünk 3 ládát, vásároltunk 6 konyhaedényt, tányérokat, poharat, csészét, egyszerű evő eszközt, hogy legyen valami evőszerszám az úton is, mivelhogy katonai élelmezésben lesz részünk. Sajnos, meleg ruhát semmit sem kaptam, így elég szegényesen, meleg holmi hiányában indultunk el egy végtelennek látszó, messzi útra. – December 8. Mária ünnepe, reggel korán felkeltünk, és a templomba is eljutottunk misét hallgatni. Délután mentünk ki a Keleti pályaudvarra, nagy nehezen egy postás autó vitt ki két fordulóval. Az egyetemi vonatba szálltunk be, mindenkinek megvolt a maga helye. Mi Haranghy Lászlóval és családjával voltunk egy fülkében. 27 kocsiból álló vonat vitt ki Breszlauba. 800 személy, az ország legnagyobb értéke, az orvostudomány lett hazátlanná! Nagyon nehezen indultunk útnak. A folytonos riadó miatt este 11-kor azt hittük, hogy végre már komolyan el is indulunk, mert addig csak ide-oda tologattak a bombázás miatt. Igen nehéz órákat éltünk át, az ágyúnak a kilövését is láttuk, nem csak a hangját. Másfél kilométerre az ellenség, folyton megvilágított. Reggel 5-kor még mindig a Keletinél voltunk, amikor végre elindultunk.

A július elseje a nyár par exelance-ja. Már nem pihés kis június, nem világoszöld többé, de zöldje még nem mélyült el túlságosan, színei nem fáradtak, nem égett ki a sok hőségőtől. Csak szikrázik, és a szikrázásnak csilingelő hangja van. Nagyon kék égen nagyon fehér báránnyelűk mocorognak, templomtoronyról palotacsipkére billegve, csak úgy kényelmesen, nézelődve lefelé, miféle népek is sertepertélnek épp arrafelé.

Van a cél, vannak a kilométerek, az útvonal, ami csak icipicit feladat, mert mindez, ahogy látszik is, végtelen táj, táj-ék. És bár suhanunk és mindent azonnal magunk mögött hagyunk, a magunk mögött igazából mi vagyunk, minden, ami „mögött”, bennünk lel helyet.

Otthoni szendvicsek, ahogy kell egy utazáskor, levesessé érlelődve, utána mentatea. Kávé Selmezbányán. Kis szunyókálás az anyósülésen. Ha már úgyis minden olyan álomszerű. Ana vár, átadja a lakást.

Így lesz az ember egy pillanat alatt boroszlói. Nem valamiféle hotelbe beuccoló átutazó.

Rohamosan mentünk 9-edikén délután Győrben voltunk. Bécs külvárosán gurultunk keresztül hajnal 3 óra tájt, úgyhogy a városból semmit nem láthattunk. A régi nagy Magyarország határán mentünk felfelé Breszlaunak. Szépen megművelt földeket láttunk mindenféle. Breszlauba megérkeztünk dec. 12-én, legnagyobb meglepetésünkre senki nem tudta, hogy egy nagy csoport magyar jön. Ideiglenesen elhelyeztek egy menedékhely tömegszállására. Két nagy terem

*volt. Egyikben a nők, másiban a férfiak aludtak. Igyekeztünk lakást szerezni, de ez igen nehezen ment. A szobákat csak bútor nélkül adták ki, nekünk pedig semmink sem volt.*

A lakás, amit az ösztöndíjas program a rendelkezésünkre bocsájított, tökéletes. Egy 2006-ban épült apartmanház 5. emeletén van, két nagy, kényelmes szoba, mellékhelyiségek, rendesen felszerelve. Hatalmas erkély, ami egy parkfelére néz. Van sikképernyős tévénk, igaz, csakis lengyel adókkal, no meg mindkét szobában légkondi, ami júliusban eléggé méltánylandó. A nappali asztalánál dolgozgatok, a konnektorokba bedugva a laptop, a telefon-töltő, a fényképező-töltő, már ahogy az efféle drótok behálózják az életet, networking. Milyen jó lenne, ha végre feltalálnák a múltba dugható adaptert, kapcs-ford, másra nem is vágyom.

Szóval így éldegélünk. Reggel besüt a napocska, hosszú fénytáblák jelennek meg a padlón, az estében pedig megvan az a nyári zsongás, amihez semmi sem hasonlítható.

Walsa Róbert feljegyzése szerint:

„Breslau, ez a korábban gazdag, de az évek óta tartó német megszállás, háború alatt megkopott, elhanyagolt lengyel kereskedőváros köddel, párással, nyirkos, kellemetlen hideggel fogadott. A menekülőkkel túlszűfolt városban semmi sem utalt a közelgő karácsonyra. Mi pedig egy kis vigaszra, együttérzésre vágytunk volna azok után, hogy kényszerűen magunk mögött kellett hagynunk az otthon melegét és szeretteinket a legteljesebb bizonytalanságban, sőt a feltételezhető pusztulás kilátásaival. Már az első percekben kiderült azonban, hogy a németeknek egyéb gondjuk is van, sem hogy fogadtatást készítsenek elő számunkra. Szállásunk: a Gymnasium zu St. Elizabeth Arletzius Strasse-i várkastélyszerű épülete csak hosszas várakoztatás után nyílt meg. Ebben a láthatóan katonai célokra lefoglalt iskolaépületben kaptunk elhelyezést. Az osztályterem hajópadlóját csak úgy, tessék-lássék szórták fel szalmával, ami tartós elhelyezkedésre semmiképpen nem látszott biztatónak. Így kisebb csoportunk részére néhány napra, megnyitották a szomszédos minoritenhofi iskolát, ahol egymásra halmozott iskolai bútorok között alhattunk. Öreg iskolaszolga fűtötte kelleetlenül a nagy cserépkályhát, a szomszédos Dorotheenkirchéből átmorajlott a karácsonyi orgonaszó szelíd zsongása. Erre ébredtünk reggelente.”

*Ünnep után kaptunk egy lakást, két egészen üres szoba volt egy teakonyhával, amiből hiányzott a villanyfűző. Egy dúsgazdag termény nagykereskedő egy emeletes háza volt. Az öreg házaspár előre megmondta, hogy az ő konyhájába nekem belépni nem szabad. Később jöttem rá, hogy jegy nélkül, feketén vettek mindent, nem akarták, hogy mi ezt meglássuk, mert az ilyeneket nagyon büntették. Breszlau főterén olvastuk egy nagy márványtáblán, hogy „ezen a helyen bárddal lefejeztek két asszonyt, mert bombakárosultaknak adták ki magukat, és ezzel az országot megkárosították”.*



Viszont én meg bolti tolvaj elfogását láttam. Egy Zabka (Béka nevű) vegyeskereskedésből hoztak ki egy sovány, eléggé lepukkant figurát. A két behemót rendőr keményen hátra csavarta a karját, de miközben mentek a rendőrkocsi felé, egész kedélyesen csevegtek. A tolvaj mondott valamit, még mosolygott is rajta, mire a nagyobbik rendőr is elhúzta a száját, és a fogva tartott feje fölött átszólt a másiknak, az is mulatott kicsit a dolgon, mire a tolvaj újból hozzáfűzött a történethez egy mondatot. A rendőrök pedig bólogattak, bizony, bizony, így van ez.

És óvatosan betuszkolták a rendőrfurgon hátsó ajtaján.

Kaptunk három ágyat, a háziak is lehoztak a padlásról két kis asztalt, két nagy széket, kis díványt, tükröt, de melegítési lehetőségünk az csak nem volt. Sok jó tejet kaptunk, mindennap egy litert, de nem tudtuk meginni forralatlan hidegen. Januárban igen hideg volt, étterem is a legközelebbi csak fél óra járásra, épp elég volt ebédre, vacsorára eljárni abban a borzalmas hidegben. Majd megfagytunk hőcípő nélkül, térdig érő hóban, a kis Dalmának rövid, kicsi télikabátja, ami alig fedte be.

Szóltunk a recepción, hogy a hűtő ajtaja nem záródik rendesen. Monika, a recepciós lány egy merő mosoly, és olyan jól beszél angolul, hogy feltételezhető, hogy ő is lehúzott pár évet Londonban. Ha nem, annál inkább dicséretes.

Jön, megnézi, mi a helyzet. Rögtön közli, hogy megszerelni nem tudja ám, ezen kacagunk, elvégre ki gondolta volna, hogy a gondosan különböző színűre lakkozott kis ujjacskaival hűtőt fog szerelni, holott akár szerelhetne, e pillanatban ez lenne a legideálisabb.

Megvizsgáljuk közösen is, nyilvánvaló, hogy nem zár, ami nem jó, mert bár hűt így is, rengeteg energia pazarlódik el.

Mindenképp szól egy mesterembernek, jönnek majd.

Nagyon kedvesen mosolyog, nagyon szép estét kíván.

Másnap találkozunk – jaj, még nem tudott intézkedni, de nem felejtett el bennünket. És ez jó dolog.

Nem elfelejtve lenni. Akár egyetlen nap, akár hetven év távlatából.

*Háziasszonyunk magas, sovány, 70 év körüli nő volt, nem adta a seprűt és a személtlapátot, kezdetben semmit sem akart adni, de aztán egy hét múlva egészen megváltozott a helyzet, látták, hogy semmi igényünk és kívánságunk sincs, hát aztán még ők jártak utánunk. Kaptunk kölcsön*

*egy kis villanyfőzőt, azon még vacsorát is főztünk. Ettől kezdve jól éreztük magunkat, központi fűtéses, jó meleg szobában tökéletes volt a jólét.*

*Itt kezdődhet végre a nyomozás. A múlt végül is csak ennyi: nevek, helyek, időpontok. Ebbe a hármaskoordinátába bele kell férnie mindennek, ami a jelenben is létezni szeretni; hiányozzék bármelyik is, már csak képzelgés lesz belőle, álmodozással szublimálódik, vagy jó, nevezük fikciónak, ami puzzle-t alkot a füllentéssel.*

Nagyon nehéz dolgom nincs.

Az utca ma ulicą Ractawicką. Egyelőre csak Google Map-en nézem, hát úgy tűnik, a háború teljesen letarolta, mert az adott számon, szemben az 1910-es évekből maradt fotográfiákon látható csinos bérpalotával, most egy lapos tetejű, úgy az 1960-as éveke elején felhúzatott kockaház áll, szürkén, fáradtan, szégyenkezve szinte. Amiért így kell megismernem.

Meyer termény-nagykereskedő kiléte egyelőre titok, bár van egy ilyen nevű cég, de hát ezt 2001-ben alapították, nagyon derék módon német-lengyel közös vállalkozásképp, és a honlapjukon nagyon vidám, a harmincas éveikben járó fiatal üzletemberek sétálnak az utcán, vállukra vetett zakóval, érezhetően teljes egyetértésben, dva bratanki, a közös számszaki sikerek felé.

Terepszemlén. Ahogy az manapság, az elkényelmesedés évszázadában megy, gps-szel. Az ulicą Ractawicką ismeri, szépen odavezet, nem is én vezetek, csak követem – igazából mit is követek, most, amikor odamegyek?

Ez a rész is olyan, mint Wrocław sok-sok utcája. Egy-két régi villa jelzi, valaha másképp nézett ki erre felé a környék, de azok a villák, bérpaloták eltűntek, és helyettük valamikor később épült egy ház. Így a legegyszerűbb nevezni őket, háznak, mindenféle minősítés nélkül. Találtam egy 1945-ös fotót a Kurfürsterstrasse 48-50. számú villáról: a fele leomolva, füstölögve. Jó, hogy ezeknek a szerencsétlen magyaroknak tovább kellett menekülniük, azt hiszem. Bizony, sose tudható pontosan, hogy rossznak érzett bármi nem sokkal jobb-e egy még bármibbnél.

Kellems nyári délelőttön, kertvárosi részen kocsikázni egy még idegen, de kívánt, valamiért enyémnek érzett városban valóságos izgalmi állapot, szóadvíz a vérben.

Aztán ott. Két, lapos tetejű épület, vagyis maradjunk a szótári alaknál, a háznál; valamikor az ötvenes években húzhatták fel őket. Akár bányászlakások is lehetnének kinézetre, de annál a környék, vélem, még szocialista relációban is elegánsabb.

Nehéz elképzelni bármit is, hiszen semmi sem ilyen volt azon a jeges télen. Nagypám, apám lába nem érintette ezt az aszfaltot, nem lökték be a kertkaput, nem tették a kezüket a kilincsre.

Ebből semmi-sincs-meg-ből kell gyártani valamiféle poszt-emléket, fabulálni abból a néhány szavas, apró-cseprő tudásból, amit a nagymama írt.

Ha ugyan az is úgy volt, ahogy leírta.

Stanislaw a kultúrfővárosi programirodán nagyon lelkes a projekt iránt. Csak meresztgeti a szemét, amikor az élelmiszerjegyeket az orra alá dugom. Rögtön felajánlja, hogy egy kifejezetten fiataloknak szóló rádiós műsorba is jöjjenek el, mert ez olyasmi, amiről jó, ha az ifjúság is hall. Ugyanis, mondja a fejét ingatva, a lengyel történelemírásra, és ez különösen igaz Wroclawban, jellemző, hogy úgy tesznek, 1945 előtt nem is lett volna semmi. Illetve volt, a 19. század. Ötven év pedig kimarad.

Aprócska mozaikkó ez, a szinte véletlenül erre bolyongó (kalandozó?) magyarok 1944/45-ben, de akkor is... Itt voltak. Nyoma van.

Igaz, akik láthatták őket, akikkel beszéltek, találkoztak, akik parancsoltak nekik vagy jók voltak hozzájuk, utánuk pár hónappal szintén eltűntek innen.

Nem véletlen, hogy az egyik nagy kulturális program címe Üres terek. Mert hogy Wroclaw mind a mai napig tele van üres terekkel és szenved ezektől az üres terektől, még ha nem is tudatosul az itteniekben. Fizikai és intellektuális terekről van szó, mindaz és mindazok hűlt helyéről, akik már nincsenek itt.

*Járkáltunk a városban mindig másfelé, ebédelni, vásárolni semmit sem lehetett, csak jegyre adtak mindent. Sok utánjárás után ruhajegyeket is kaptunk. Károlykának egy jó meleg sapkát és kesztyűt vettem, a kis Dalmának és magamnak is trikó alsó fehérneműt. Ennek igen örültem. A kis Dalma szép, fehér kötött pulóverét beadtuk a tisztítóba, hogy megfessék bordóra, a Gyula egyetlen vékony szövetruháját is beadtam, hogy tisztítsák ki, mert még a szekér úti átázástól tele volt sárga folttal. Ezt is elvesztettük örökre. Károlyka járt az iskolába, boldog volt, hogy mehetett, harmadik elemibe felvették, de sajnos csak egy hétig járhatott, mert az igazgató írásban tudatta, hogy magyar gyermek nem járhat itt iskolába. A kis Dalmát fel sem vették.*

Az események aztán gyorsan változtak. Arra senki sem gondolt, hogy az oroszok egy hét alatt 300 km-t jönnek előre, aránylag a legerősebb frontszakaszon. Január 19. csütörtök este 7-kor egy hangversenyt rendeztek az egyetlen (ez a város másik végén volt a mi lakásunkhoz) a magyarok tiszteletére. Elmentünk Gyulával, a két gyermeket először hagytuk egyedül. Alighogy egy zongoraszám elhangzott, nagy riadó volt. Szaladtunk le a pincébe, jó óra hosszat ott voltunk, elég erős épület volt, mégis nagyon mozgott a közeli bombázástól. Otthon a két gyermek

*is lement, és csodálkozva látták, hogy milyen sok finom ennivaló volt ott, befőttek, sütemények, a háziak ettek is, de az anyémeknek nem adtak. Mi aztán 10 óra fele hazakerültünk, félig gyalog tettük meg az utat, mert a villamos mind tele volt. Gyönyörű szép az új városrész, egész villasorok, de a belváros, az egész régi 2-3 emeletes házak, csak falépcsővel, sehol egy biztos jó óvóhely nem volt.*

Kibogarásztam, hogy a legnagyobb helyi napilap a Schlesische Zeitung volt, ami akkor már több mint kétszáz éve jelent meg. Hümm-hümm, ingatódtak a fejek, hát bizony lehet, hogy abból nincs semmi a könyvtárakban, de azért tegyünk egy próbát. Az első hírek felhősek, mint az időjárás: sajnos, csak 1943-ig van meg a lap mikrofilmen. Mit lehet tenni, nehéz idők voltak, szábiggyesztés.

De azért csak menjünk oda az Egyetemi Könyvtárba, hátha akad valami...

Különben, tudom még meg, Grzegorz Sobel professzorral is próbálták felvenni a kapcsolatot, aki a kor nagy tudora, hátha mód lesz találkozni, beszélgetni.

A könyvtár hatalmas, megtudunk némi háttérinformációt az épüléséről: elég csak annyi, egy pompás kis kelet-európai igaz mese, egekig csapott a korrupció, de kiderült, és most a fél egyetemi vezetés a dutyiban csücsül. Kétségtelen, az épület hatalmas, de minden szürke, kicsit börtönszerű...

Viszont megtörténik a csoda. Még csak megvan a Schlesische Zeitung 1944-es évfolyama mikrofilmen, úgyhogy meg lehet tekinteni. Legalább ekkora szenzáció, hogy Sobel professzor is épp itt tartózkodik, szólnak neki, és rögvest érzézik.

Mintha a múlt, melynek mélységes mély a kútja, most úgy döntött volna, hogy a napvilágra löki azt, ami benne rejtezik. Vagy amiért ilyen lelkesen eresztettem belé vödörmet, belerakta a mikrofilm-tekerccset és mellé a professzort.

Az olvasóterem előtti folyosón találkozunk vele.

Szegénynek valami gégeproblémája lehet, mert olyan halkán beszél, mintha nem csupán a könyvtár meghitt hangulatához akarna igazodni, hanem így jelzi: titkos dolgokról lesz itt szó, olyasmiről, amiről olyan keveset tudunk, hogy azt csak ilyen halkán illik mondani, mindennemű harsányság nélkül.

Aztán kiderül, az egész magyar egyetemi zászlóalj históriáról nem tud semmit.

De hát honnan is tudna?

Leül, figyelmesen hallgatja, ami előadok. Csóválja a fejét. Aztán eszébe jut egy könyv,

a Breslauer Apokalypse 1945, bizonyos Horst G. W. Gleiss kétkötetes műve, ami szintén újság-faksimiléből áll, de nem csupán a Schlesische Zeitung alapján, hanem benne foglaltatik a The Times, a Svenska Dagbladet, a Der Bund és a Pravda címdala is, napra lebontva. Aztán még közelebb hajol, és még halkabban azt mondja, hogy gyerekkorában volt Dunaújvárosban, mert az apja ott dolgozott egy ideig, és meglátogatta. Volt egy kedves asszony is, ezen hosszasan eltöpreng, hogy is hívták, aztán hála istennek eszébe jut, nagyon örül neki, Frau Ida, suttogja lelkesen, Ja, ja, das war ihre Name, Frau Ida. Mást nem tudunk meg erről a nőről.

Visszatérünk a nagy olvasóba, ami most, a nyári szünet idején tényleg olyan csöndes, mint egy cinterem. A könyvtáros munkatárs már előkészítette az 1944. évi mikrofilm-teker-cset, gyorsan elmagyarázza a vetítő használatát. A július 1-ével kezdődő szalagot gyors-pörgetésre állítva egészen december 12-éig továbbbitom.

*Ekkor érkeztem meg, ekkor írta nagyanyám az első mondatot, Breszlauba megérkeztünk dec. 12-én, legnagyobb meglepetésünkre senki nem tudta, hogy egy nagy csoport magyar jön.*

A kérdés az volt, vagy inkább alapfeltevés, hogy a városban mégiscsak tudtam a magyarokról, vagy tudomásuk lett róla, elvégre, valakiknek ki kellett adni a parancsot, hogy ide jöjjenek, az itteni hatóságokat értesíteni kellett a szerelvény érkezéséről; meg kellett szervezni az ideiglenes elhelyezésüket, a tanároknak egy idő után méltóbb szállást keríteni, élelmiszerjegyet osztani, adminisztrálni az érkezőket.

Hogy minderről, esetleg, valami lenne az újságban.

Ha nem is kolumnás anyag, de egy kis tudósítás.

Címes hír.

Mínuszos hír...

Ez a Schlesische Zeitung majdnem olyan képet fest 1944 decemberének Breslauáról, ahol ugyan tudvalévő volt, hogy háború van, de ettől még szépen folyik az élet. Vagy nem szépen, de hát ilyen békében is megesik. A 4 oldalas újság első két oldalán persze kül- és belpolitikai cikkek sorakoznak, ahogy az kell, itthon minden pompásan alakul, szemét Chruščill és Sztálin, bolsevikiek. Ám ezek után már a helyi hírek következnek, sziléziai kis színesek, ez vagy az a tanszékvezető 70 éves lett, feltűnően sok koncertről és színházi előadásról születik kritika, sok hír van a német filmgyártásról, egy ízben arról zeng a lap, hogy még ebben a nehéz, háborús évben is 72 német film készült el. Folytatásokban közli Marianne Bruns regényét, Die Schwestern címmel. Van halálórosi rovat, külön azokról,

akik a Führerért és a Heimatért haltak, meg a pórnépről is, akik csak úgy távoztak az élők sorából. Élelmiszerjegy-üzereket ítéltek halálra. Az utolsó oldalon sakk-feladványok, keresztretjtvény, rádió- és moziműsor.

Vasárnap. Kinézek az erkélyen. Nagymamám ma azt írta naplójába, szerencsére el tudtak menni szentmisére. A nagy hideg és a riadók ellenére.

Tény, kicsit lehűlt, ma nem lesz harminc fok.

Egy kapucnis lány focizik a kutyájával a pályán. Elrúgja a labdát, a kutya libegő füllel ered utána, aztán amikor utoléri, böködi az orrával, mintha rúgni is akarná, végül a kipukkadt labdát a foga közepé véve viszi vissza.

Szinte idilli mindez a lassan terpeszkedő fényben.

A magamra rótt feladat eszembe juttatja, milyen gondolatokkal ébredhetett nagyapám Breslauban, itt létük második reggelén. Negyvenhét éves volt, két viszonylag kicsit gyerekekkel, feleséggel, aki háztartást vezetett nagy gonddal és szakértelemmel, de németül például nem beszélt. És a rá bízott diákság, 110 gyógyszerész-hallgató, hogy velük mi lesz.

Mindez mínusz tizenhét, meg nem tudom, mennyi fokban.

Kicsit kényelmetlenül is érzem magam ettől, amikor hallom, hogy a forralóban már vadul bugyog a víz, jöhet a kávé, ami végleg felébredt, de lehet, csakis fel, mert egyszerűen képtelenség hogy rá is ébredjek dolgokra.

Misére ugyan még mindig elmehetnék, ha jönne egy hang vagy lökne egy kéz, hogy Fiam, Károly, bizony-bizony, mondom néked... Ha apám vagy nagyapám hangja lenne, rögvest nekiiramodnék.

Lustán beérem az udvaron álló hatalmas nyárfák leveleinek izgatott sutyorgásával.

A napló mellett megmaradt még egy kartonpapír borítójú, zsebekre osztott gyűjtő, olyasmi, mint régen a fizetőpincérek hatalmas bukszája, csak papír. Ebben élelmiszerjegyek bújnak máig. Fel nem használt jegyek, amik megmaradtak, mert a jegy ellenére mégsem lehetett rá kapni semmit, vagy, és ez a valószínűbb, a menekülő csapatnak nem volt ideje felhasználni, mivel egyszer csak megint csomagolni kellett, és indultak tovább – jó esetben legalább azt sejtették, hogy hová.

*A kosztunk kétségbeejtően rossz volt. Első reggel olyan fekete vizet adtak, kávénak nevezték, amit én rögtön ki is hánytam. Két napig semmit sem ettem. Ebédre, vacsorára csak egytálétel,*

lehetőleg marharépa vagy vízben főtt krumpli, valami barna mártással leöntve. Egészen zsír nélkül volt minden. Szerencsére volt még hazai ennivalónk, ezen éldegéltünk. Pár nap múlva megkaptuk az élelmiszerjegyeket, és akkor már vehettünk vajot, tejet, zsemlét, barna lisztből, az itt nagyon jó volt. Ebédelni mehettünk étterembe, ott is zsír nélkül volt minden, folyton éhesek voltunk. 12-kor ebéd és 6-kor vacsora volt. Remek jó barna sör volt, egészen édes maláta, ez csillapította az éhségünket, meg a vízben főtt krumpli.



Élelmiszerjegyek, 1944

Kétszer ettünk eleddig a Ryneken, egyik kaja pompásabb volt, mint a másik. Nem kértek szűzermé-jegyvet, se bifsztek-jegyvet. A zene kissé hangos volt, na ja. Meg sok a német, már megint.

Mi lenne, ha a megmaradt jegyekkel mennénk a Kauflandba? Mobiltelefon kamerára állítva, egy kis projektfilm.

Gyeny dobrü... ízé, egy tucát tojást kérek, friss tejet, étkezési burgonyát... Tessék, itt vannak a jegyek.

Szórakozik, jöember? Vagy: Mutassa csak... Várjon, megkérdem a főnököt...

De hát tessék nézni, rajta van, Breslau, Karl Méhes, az vagyok én. És éhes is vagyok, ennék majd egy kis krumplit tojással, rá tejet...

Nézze, jóember... ezzel nem viccelünk.

Nem viccelek. Kapta a nagyapám és az apukám. Rá van nyomtatva, el lehet olvasni.

Persze, persze. Az is rá van nyomtatva, hisz tud olvasni, hogy 1944/45. Rég lejárt. Hetvenkét éve.

Igen, de...

Most mit akar?

Vannak dolgok, amik sosem járnak le. Nem évülnek. Ezt lehet tudni. Sokszor mondják. Nem évülnek el.

Na, jó, ebből elég. Húzzon, vagy hívom a biztonsági szolgálatot.

És a jegyekkel mit kezdjek?

Tudja mit, egye meg.

Nagyon süt odakint a nap.

Hallom megint nagyanyám hangját.

Bórszató volt, gyerekem. Ő hosszú ó-val mondta, hogy még borzasztóbb legyen.

Ami Proustnak a Madelein teába mártva, az Közép-Kelet-Európában egy soha be nem váltható akkurát jegyrendszer.

Végül is vettünk vodkát, sört, instant kávé, tejet, joghurtot, mélyhűtött spenótos pirogot, vizet, mogyorót, vécépapírt, törülköződöt. Ja, még nápolyit.

Kint ültünk egy teraszon a Német-szigeten, a katedrális utcájában. Egy család jött arra, egy olyan család. Apuka, anyuka, egy nagylány és az öccse, pont olyan nyolc éves forma. Turisták, hátizsákkal, kulaccsal, nyakban fényképezőgép.

Természetesen (mért így mondom?) németek, szolidan viháncolva, elvégre kirándulnak, szabadságon vannak, és szabadság a legfontosabb dolog. Ilyen lehetett volna a Méhes-família is 1944-ben, még ha nagykabátosan is, nem az adott körülmények között.

Nincs semmiféle fénykép róluk. Csak kettő kis fotó nagyapámról, amint kalapban, nagykabátban száll fel egy vagonba, illetve valakit cigarettával kínál. Ki készítette, hol, nem



lehet tudni.

A pincérlány rám borította a sört, amikor kihozta.

Teljesen megrémülten kérdezgette, *Everything all right?*

Mit is mondhattam volna, ahhoz képest.

*Yes, yes. Almost all right.*

Nézem az arcokat, keresem az öregeket. Egy olyan kósza ötlettől vezérelve, hogy melyikük lehet az, aki esetleg láthatta nagyapámékat. Nagyon vénnek kell lenni már ahhoz, nagyjából apámmal egyidősnek, nyolcvan körül, mint amennyi lenne ő, ha élne.

Nem tudom, mert jó erre gondolni, hogy igen, elmegy mellettem egy nő vagy férfi, lassú, csoszogós járással, aki akkor, azon a cefet hideg télen, a háború végén kisgyerek volt, és mit törődött bárkivel is, őt is húzta vagy cipelte az anyja vagy az apja, mentek sorban állni krumpliért, tűzifáért, és akkor elsietett mellettük nagyapám intézkedései közepette vagy nagyanyám Dalmával, mondjuk, ők is beszerző körúton, és ott, akkor egyetlen pillanatra egymás szemébe néztek.

Csak ennyi.



Dr. Méhes Gyula

Rá kell döbbenjek, hogy nem, ennyi sem.

Mert aztán fogták őket, mindenkit, aki breszlai volt, és eltűntették innen, és mások jöttek helyettük, keletről, mert nekik meg onnan kellett eltűnni, csakhogy az újak már nem lettek breszlaiak, mert Breslau sem volt többé, hanem wroclawiak.

Nagyapámék még körbevonatozták a fél háborús Európát, és 1946-ben ők is megérkeztek oda, ahol azelőtt életükben sosem jártak addig, Pécsre. Azt mondták nekik, oda kell menni.

Ők meg így lettek pécsiek.

Elsétálunk a zsidónegyedbe, vagy talán jobb így mondani, a volt zsidónegyedbe. Hiába, hogy áll a Fehér Gólya névre hallgató zsinagóga (ilyen nevű fogadó működött épülése előtt), meg körülötte néhány boltocska, étterem, hogy úgy mondjam, zsidó tematikájú. Akár csak az egész lengyel (és most maradjunk csak ennél) zsidóság esetében, a wroclawiról sem lehet már beszélni. Nincsenek wroclawi zsidók, mert elégették a breszlai zsidókat.

A zsinagóga udvarán munkások zörögnek, a nagyterembe kerek asztalokat cipelnek be kiskocsin a macskakövön döcögve. Odabent szintenként kiállítások: izraeli gyerekrajzok; a jiddis és a jiddis irodalom krónikája; a breszlai zsidónők emancipációja; neves itt született zsidó személyiségek.

Az udvaron elhelyezett emléktábla tanúsága szerint erről a helyről deportálták 1941-1944 között a város zsidó lakosságát.

Igazából oda lyukadok ki ezúttal is, hogy ezek szerint 1944. december 12-én Breslauba érkező nagyapámék itt létük során egyetlen zsidó lakossal sem találkozhattak.

Valószínűleg egyetlen eggyel sem.

Én most – nem tudom. A bejáratnál ült egy unott arc, security egyenruhát viselt.

Meg az asztalokat cipelő munkások.

Elmentünk Edith Stein házához is. A breszlai zsidó lány, aki katolizál, apáca lesz, Hollandiába menekül, ott kapják el, későn jön a menlevél, visszahozzák majdnem oda, ahonnan elindult, hogy aztán Auschwitzban megsemmisítsék. Utoljára itt, a vasútállomáson látták.

1998-ban II. János Pál szentté avatta, ma ő Európa egyik patrónusa.

A ház önkéntese azt meséli, a legtöbb látogató német, aztán holland, francia, angol. Lengyelek? Nos, ők nem jönnek ide. Úgy véli, számukra Edith Stein az maradt, ami volt. Német és zsidó. De az is lehet, egyszerűen nem is tudnak róla, vonja meg a vállát végül.

*Rohamosan közeledett a szent karácsony este. Hiába kerestünk az egész városban valami kis ajándékot, semmit sem kaptunk. Sajnos nekünk lakásunk sem volt még, ott maradtunk a tömegszálláson. Napokon keresztül a németek hordozták a fenyőfákat, de nekünk nem adtak el. A kis Dalma kért az utcán egy kis 40 cm nagyságú fenyőgallyat, ezt állítottuk fel a mosdótál helyére, és ez volt az egész. Károlykának egészen egyszerű faágyút kaptam. A nagy teremben is fel volt állítva egy elszáradt, egészen kopasz fenyőfa a magyarok számára. Szánandó, szomorú fa volt, akárcsak mi magunk. Jött egy konyhás néni, és a gyerekeknek adott 1 almát. Károlyka is kapott egy egészen zöld fűzfásóvári almát. Itt nagy ritkaság a gyümölcs, mondták ők, örülhetünk ennek is.*

Amikor 1978 nyarán először jártam Lengyelországban, a családdal, Márton öcsém 4 éves volt, és teljesen beleszerelmesedett a Syrena nevű kis lengyel kocsiába. Mindig azt leste, jön-e Syrena, és ha jött, mert jöttek, hiszen sok futkározott belőlük a macskaköves krakói utcákon, örvendett, ahogy csak egy négyéves tud.

Mára kultautó lett ebből is, mint szinte mindenből, ami a negyedszázada levitézlett szocializmus része és terméke volt. Biztos lehet tankot is kapni a wroclawi játékboltokban, de nekem a Syrena modellautón akadt meg a szemem, 19 zloty, 1400 forint, nem sok, bár ezért a Mis nevű kifőzdében két személyre ételt kapni, borscsot meg pirogot; no persze, hogy is lehet ételt játékautohoz mérni. Noha mindkettőre erős rákivárással lehet élni.

És csak most, majd' egy hét elteltével gondolom végig a lengyel vonalat, mondhatni vér-vonalat, ami bennem húzódik.

Anyám családja eredetileg Beszenszky volt, aminél eléggé gyanús a lengyel óhaza. Nagyapámnak, Beszenszky Sándornak ludovikás korában tanácsolták, hogy válasszon valami magyarosabban hangzó nevet, így lett szegényből nagyon magyar Besenyő. Az „anyja neve” rovatba ezt írom be minden alkalommal, és mi tagadás, visszaírom a Beszenszkyt.

Gyöngyösi nagyanyám anyja viszont név szerint volt Lengyel, még hozzá Hermina. Nem tudom több generáción keresztül visszakutatni, hogyan alakultak a házasságok, névcserék, de csupán a név jelentése végett akár azt is feltételezhetjük, hogy valaha, réges-régen tényleg Lengyelhonból érkezett idegeneket jelöltek így, mert mi más?

Nevezett Márton öcsém aztán, jóval később lengyel lányt vett el feleségül, aki – minő véletlen – Wroclaw mellől való, Boguszycéből, de itt járt egyetemre.

A körök, akárhány év is kell hozzá, körbeérnek.  
Ha visszatérés nincs is, valamiféle megtérés bizonyosan létezik.

*Ettől a naptól kezdve izgalmas lett az élet. Az emberek nagyon féltek a bombázástól. Mi, szegény magyarok csak csodálkoztunk, semmi sem volt ez a három kis orosz bomba a pesti bombázásokhoz képest. Igaz, hogy itt a házak nagyon gyengék, és tele fával, ami nagyon tűzveszélyes. Összesen hat hétig voltunk Breszlauban, igen jól esett a pesti izgalmak után a valóságos békebeli nyugalom. Kezdetben sokat nélkülöztünk az úgynevezett nyomortanyán, de aztán 3 hétig, amíg a szép városrészben laktunk, igen jól éltünk. Élveztük a jó meleg szobát, nagyokat aludtunk, a kosztunk is még volt, de azért sokszor voltunk éhesek a zsírtalan vendéglői koszt miatt.*

Egy hete érkeztünk. Legalább egy hónapnak tűnik. Minden bejáratottnan működik. Már mindennek megvan a helye, ami nem akadt a lakásban, pár apróság, vettünk. Éles kést, konyharuhát.

Nagyanyám naplóját olvasgatva nem árt belegondolni, efféle történelmi fordulatokban milyen különbségek lehetne idegen konyha és idegen konyha között. Milyen jó, hogy nem kell senkivel sem osztozni, mondom – lehet, felettébb gőgösen; vajon hogy viselnénk, ha holnaptól az ösztöndíjas-iroda ide rakna nekünk egy afgán menekült író, mert nincs más megoldás, itt pedig van még egy kanapé, azon elalszik majd. Jó, ne afgán legyen, csak moldáv.

Erős megfontolás tárgya...

Felkelés, citromos víz, kávé, joghurt. Szép komótosan. Az erkélyajtó nyitva, hiába, hogy nincs az a hej, de meleg, a nyár az nyár, vágat befelé az új nap, sutyorognak a park fái, zörög a keresztutcában villamos.

Nyolc órakor a gépnél ülök, és gyúrom össze a két világot; jó lenne nagyapámmá lenni, legalább képzeletben, ám ez nagyon hiú ábránd. Amikor minden megvan, rettentő nagy-pofájú dolog lenne azt állítani, hogy értem én ám, milyen a majdnem-semmi.

Inkább csak azon töprengek, hogy meg tudták-e szokni az itt létet egy-két hét alatt, Breslau jelentett-e nekik többet, mint egy állomás a sok közül.

Ők is mondták-e, amikor végeztek a városban való járkálással, ideges enivaló-hajkurászással, sorállással, kilátástalan intézkedéssel, hogy na jó, akkor menjünk haza.

Bórsasztó hideg van, gyerekem.

Gyerünk gyorsan haza.

Elballagtam a Biedronka nevű vegyesboltba, és feltűnt, hogy kész a járda. Érkezésünkkor, egy hete még minden fel volt túrva, kerülni kellett a másik oldalra – most pedig készen van.

Wroclaw, az ulicą Kościuszkó ezen a héten is épült-szépült.

És ilyen az, amikor bele vagyok zuhanva valamibe (múltak kútja...), mert rögvest ez jutott az eszembe: nagypámék '44-ben jártak-e épp ellenkezőleg? Hogy mentek az utcán, és azt kellett lássák, hogy jó, itt tegnap még járda volt... bolt volt... ház volt...

Lépegetek az új kövezeten.

Hát ilyen egy rendes kikövezés.

Felmásztunk a Mária-Magdolna templom tornyába, a keresztkerélyre. Tizenhárom emelet, valami 228 lépcsőfok. Ha már szenvedéstörténet...

Újra, megint a gondolat: apámék jártak-e itt '44-45-ben? És ha így lenne, mért lenne jó, nem tudom megmondani.

Amúgy hogyan, mért jártak volna?

Háborúban, télen, mínusz tizenvalahány fokban. Kabátjuk sem volt.

Felmásztam, hősiesen, és széttekinték.

Tíz nap után már nem volt térkép a táj. Úgy mutogatok lefelé, mint aki itt élte le fél életét; vagy csupán magamnak akarom bizonygatni, hiszen itthon vagyok, ez a Boroszló/Breslau/Wroclaw genetikailag ott lappangott bennem, és most, adott pillanatban kitört rajtam a wroclawizmus.

Akárhogy is, velem együtt apám, a nyolc éves Károlyka is feljött velem most a szédítő magasba körülnézni.

És végre nem fázott egy csöppet sem. Csak én borzongtam meg egy picit a harminc fok ellenére.

A Ryneken katonai eskütétel zajlott e pompás vasárnap délelőttön.

Most is, ha csak erre az órácskára is, katonák masíroztak fel s alá a városháza és az ódon házak között.

Nagyon snájdig, nagyon elegáns, nagyon lakkcipős ifjú tiszturak és tiszt hölgyek, akik ma lettek végleg azzá, amire készültek.

Elvonult a rezesbanda, élén a tamburmajjossal, és azzal felbomlott a zárt rend. A mikrofonba már nem kiáltottak vezényszavakat, hogy Batallion, passage!, hanem a tiszturak és hölgyek egymás felé fordultak, és rázni, ölelni, lapogatni kezdték egymást, mert végtelenül boldogok voltak, arcuk fényesebben sugárzott, mint a nap, mert békében remek dolog ám katonatisztnak lenni.

Békében úgysem lehet elképzelni a háborút.

Akkor sem, ha valaki századszorra olvassa el a nagyanyja háborús naplóját.  
Mert békében mindig béke van, és háborúban csakis háború.

Mindenkiről készült fénykép, meg lett örökítve ez a nap; legyen majd akárhogy is, a képen mindig béke lesz.

Elmentünk ebédelni: előbb zsureket, utána pedig pirogot kértünk.

Dr. Laszlovszky József volt gyógyszerészhallgató 1995. januárjában, a Gyógyszerészet című lapban tette közzé emlékeit. Kicsit talán precízebb, tényszerűbb, mint nagyanyám naplója, és persze más szemmel íródott és jóval később, az események ötvenedik évfordulójára. Nála szerepel, hogy a Technische Hochschule (ma plac Grunwaldzki) aulájában január 6-i tanérvnyító után január 10-én kezdődtek meg az előadások. „A hiányzó budapesti professzorok helyére máris sikerült a kolozsvári egyetemről családjával együtt kitelepitett dr. Méhes Gyula farmakológus professzort a gyógyszerismeret, sőt, az összevont képzésben eredetileg nem is szereplő gyógyszerhatástan és méregtan tárgyak előadására megnyerni”.

Laszlovszky József 1996-ban aztán levelet írt apámnak, ami így kezdődik: „Egyik vagyok azoknak az egykori gyógyszerészhallgatóknak, akik áldott emlékü édesapád feltű gondoskodása mellett ezelőtt ötvenegy éve visszaérkeztünk németországgi kitelepitésünkből.

*Jól emlékszem Rád, az akkor kis gimnazista fűra, nővéredre, Dalmára és édesanyátokra, akin sokszor látszottak a körülmények súlyos gondjai. Azóta csak édesapáddal találkoztam egy alkalommal. (...) Az évfolyamtalálkozónkon most is hálás szízzel emlékeztünk meg Édesapádról. Az ő felelősségteljes, józan gondolkodásának és professzor társaival való jó együttműködésének köszönhetjük, hogy épségben hazakerültünk. (...) Furcsán hangzik, de az egyetemisták kö-*

zül a gyógyszerészhallgatók sorsa szinte külföldi utazgatásnak tűnik azokhoz a borzalmakhoz képest, amelyeket Drezdában vagy Halléban kellett az orvostan- és a mérnökhallgatóknak elszenvetniük.”

Január 22. vasárnap már az egész város menekült. Minden személy 15 kg-ot vihet magával, gyalog mehet az országúton abban a rettenetes hidegben. Mi is csomagoltunk, csak kézi csomagokat. Hála Istennek, sikerült 7 vagonot kapni, és mi az összes csomagjainkat elvihettük. Nagy volt az izgalom, a mínusz 18 fokos hidegben, hétfő reggel, 8-tól délután 4-ig álltunk a vagonoknál, berakodtunk. Az volt a szerencse, hogy egészen kint, a mellékvágánynál voltunk, különben, ha láttak volna, a menekülők ezrei elzavartak volna, és elvették volna a vonatunkat. Mi magunk cipeltük nehéz csomagjainkat, majd' megszakadtunk és fagyunk a nagy hidegben. Egész nap evés nélkül, Károlyka sírt, hogy nem bírja tovább. Január 23. hétfőn délután 4-kor végre elkészültünk, és beszálltunk a kis régimódi francia kocsikba. Nem volt folyosó, a fölkéből csak kiszállhattunk. Borzalmas hideg volt, mínusz 20 fok, majd megfagyunk az egész napi álldögálás, cipekedés után. Mégis örültünk, hogy már bent ülhetünk a kocsikban. Izgalommal vártuk az indulást. Ezt mindig tovább halasztották, már-már úgy nézett ki a helyzet, hogy leszállítanak, és a helyünket a menekülő németek foglalják el. Végre hétfőn, 23-adikán, éjfél után 1 óra tájt elindultunk. Megdöbbenve vettük észre, hogy a három vagon az összes csomagjainkkal ott maradt (20 orvostanhallgató is benne ült), azzal az ígérettel, hogy reggel 6-kor egy másik szerelvényhez kapcsolják, amelyik szintén Halléba megy. Minket ez az elmaradás igen súlyosan érintett, mert egy jó nagy kézi kosár is elmaradt. (Mert a többieknek igen sok csomagjuk volt, hát Gyula jónak látta a mi élelmiszeres kosarainkat áttenni a másik vagonba.) Mert úgyis mellettünk van a kocsi, szinte minden állomáson áthozhatjuk, Gyula így gondolta. Ebben a kosárban rengeteg minden volt, két kiló cukor, egy nagy üveg krasznai sárgabarack lekvár cukorban, egy üveg málnaszörp, egy kiló méz, három üveg Odol, három üveg halolaj,



A pécsi Széchenyi tér 1946-ban

*három üveg ecet, valódi levendula kölnivíz, két csésze, két pohár, pótolhatatlan veszteség volt a számunkra. Szalonna, vajkeksz, kenyér az útra. Egy deci maradék rumot Gyula kivett az utolsó percben, ez volt az utolsó szesz, amit inni lehetett. Ez a kosár végleg elveszett, megették a fiúk a három napos utazásban. Soha nem láttuk egy darabját sem. Jól eltűntették a fiúk. Mi pedig legalább két hónapig éreztük hiányát.*

Az utazás, a menekülés folytatódott Drezdába, Halléba, Grazba, Leobenbe és végül a München melletti Adlfdorfba, ahol 1945. május 1-én szabadították fel őket az amerikaiak. Akik viszont még hónapokig nem engedélyezték a csoport hazautazását, így az induláshoz képest majdnem egy év múlva, október 17-én érkeztek csak meg.

A megmenekült hallgatóság pár nap múlva, október 22-én írt egy memorandumot, amit a miniszterhez juttattak el. Többek között ez áll benne:

*„Alulírottak ezennel kijelentjük, hogy dr. Méhes Gyula egy. nyilv. rendes tanár, a Németországba kitelepített gyógyszerészcsoport vezetője németországi tartózkodásunk alatt saját biztonságát veszélyeztetve több ízben is a leghatározottabban ellenállt a német és németbarát-nyilas érzelmű magyar katonai személyek azon parancsainak, hogy a vezetése alatt álló csoport tagjai „Volksturm”-ba, német katonai alakulatba, vagy német érdekeket szolgáló magyar csapatokhoz bevonuljanak. Működésének köszönhető, hogy a 110 főnyi egyetemi gyógyszerészcsoportot sikerült megmenteni attól, hogy a német háborús erőfeszítésekhez cselekvőleg hozzájáruljanak.”*

És annak bizonyítására, hogy a jó néha elnyeri jutalmát, vagy legalábbis feljegyzik valahol, ide tartozik még Mansfeld Géza pécsi gyógyszeratan professzor néhány sora, aki már a koncentrációs tábor túlélve, Genfből jegyezte az alábbiakat: *„...amikor engem deportáltak és ő mint Kolozsvárról menekült megbízást kapott a kultuskormányzattól, hogy tanszékeket vegye át, ezt kereken megtagadta, s inkább állás nélkül maradt, semhogy jobb meggyőződésével elmentésben helyezkedjék el. Ezért kellett neki is azután katonai behívásnak eleget téve nyugatra mennie, holott ha az én tanszékeket elfogadta volna, szépen Pécssett maradhatott volna.”*

Szépen Pécssett maradhatott volna...

És mintha nem lenne menekvés, hiába vergődik végig valaki a fél háborús Európán, ha a sors ujja, kisujja, ujjacskája már rábökött egyszer a térképre, arra a ki tudja milyen, messzi, ismeretlen Pécs városára, akkor oda kell menni.

Mansfeld Géza öreg volt már és beteg, nem tudott, tán nem is akart hazajönni Svájcból. Immár ő javasolta maga helyett utódjául dr. Méhes Gyulát a Pécsi Tudományegyetemre. Aki ezek után 1946 kora őszén újból szekeret fogadott, felpakolta azt a keveset, amijük



maradt, és eldöcögtek Pécsig. Apám többször felidézte, mennyire belé ivódott, milyen szép volt a Mecsek-oldalon lefelé ereszkedve meglátni a háborútól teljesen megkímélt, csendes, alkonyati várost.

Merő véletlen, természetesen, de a (szolgálati) lakásuk jó tizenöt évig a Vitéz utcában volt.



Méhes Gyula ,Gyöngyösi Dalma, Méhes Dalma, Méhes Károly, 1943

Wroclaw, 2016. július 1-14.

**Kinga Keszthelyi**

## **Wrocław. Dziennik podróży**

Są takie miasta, w których człowiek chce się znaleźć, ale nie wie dokładnie, dlaczego. Być może zazdrościłam moim węgierskim i amerykańskim przyjaciółom, kiedy udawali się na jeden z najlepszych festiwali teatralnych na świecie, na „Festiwal Dialog” i z ogromnym entuzjazmem pisali o miejscu, zróżnicowanym repertuarze i poglądach. Wtedy to miasto potajemnie trafiło na nasze osobiste mapy, oznaczyliśmy je gwiazdką, jakby było wirtualną zakładką i zachowaliśmy je w pamięci. A potem tak się ułożyło życie, że czy to wiedzeni przypadkiem, czy świadomym zamiarem, trafiliśmy tutaj. Tym wszystkim jest dla mnie Wrocław, gdzie mogę być rezydentką w ramach Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

Już chwilę trwa podróż pociągiem, a tu nagle zjawia się kobieta w średnim wieku. Szuka wolnego miejsca, a ja, stojąc przed moim przedziałem, zapraszam ją do środka, proponując wspólną podróż. Można jej pozazdrościć – to prawdziwa podróżniczka: pracuje jako księgowa w australijskiej firmie telekomunikacyjnej, przeważnie jest w delegacji, obecnie przebywa w Mianmar, ale w wolnych chwilach podróżuje. Jedzie do Krakowa, przesiada się w Katowicach, jak większość ludzi w tych dniach. W Krakowie zaczyna się przyciągające półtora miliona ludzi „Światowe Spotkanie Młodych”, na którym będzie także obecny papiież. Potem spędzam jeszcze dwie godziny w zatłoczonym pociągu do Wrocławia.

Stanisław czeka na dworcu, znam go ze zdjęcia. Poprzedniego węgierskiego rezydenta, Karoly’ego, znam z jego zdjęć z Facebooka, które zamieścił na początku lipca. Stanisław przyjechał na rowerze, czym od razu skrada mi serce, potem odprowadza mnie do hotelu. Przyjemny pokój w centrum miasta. Potem Staszek pokazuje mi kilka miejsc na jednej z większych ulic. We Wrocławiu czuje się obecność nowo powstałych inicjatyw stworzonych w ramach projektu Europejskiej Stolicy Kultury, jeszcze widać, co powstało od zera, a co mieszkańcy już oswoili i potraktowali jako swoje. Następnego dnia idziemy ze Stanisławem do festiwalowego klubu, do „Barbary”, a później oglądam ich biura na drugim piętrze, do których wchodzi się od strony wewnętrznego dziedzińca: to miejsce o dobrej aurze, panuje tu nastrój spokoju. Na dziedzińcu zgromadzono reklamy-neony, pozostałe z lat ’60, które z powrotem przytwierdzono do ścian budynku i które zapalają się po zmroku. Prawdziwy klimat retro, który można polubić i który jest mi tak dobrze znany.

Ze Staszkiem i dziesięciorgiem innych uczestników uczestniczymy w pokazie projektu Klaasa, holenderskiego artysty-rezydenta, śledzącego losy romskiego sprzedawcy kwiatów po opuszczeniu Rumunii. Pokaz, podczas którego my także mamy wręczać przechodniom na ruchliwej śródmiejskiej ulicy kwiaty (tak jak rodzina Hermana robi to każdego dnia, oczekując w zamian pieniędzy, bo z tego żyją) na pierwszy rzut oka wydaje się emocjonujący, ale sytuacja jest dla mnie zbyt przejmująca.

Podczas mojego pobytu odbywa się coroczny wrocławski festiwal „Nowe Horyzonty”, w tym roku spleta się z dwoma innymi wydarzeniami, jest częścią programu Europejskiej Stolicy Kultury. Znakomicie ułożony program, świetny wybór filmów. Ponad pięćdziesiąt

tegorocznych premier, sale projekcyjne pełne dwudziestolatków i to nie tylko miejscowych, bo niektórzy przyjechali też z Krakowa i z Warszawy. Tutaj nie ma miejsca na wywlekanie artystycznych niedostatków, panuje duch miłości do kina. Wspaniale, że na czas festiwalu umiejscowiono na podeście schodów księgarnię, żeby ci, którzy mają sporo czasu pomiędzy dwiema projekcjami mogli poczytać na korytarzu, na materacach i poduchach położonych na stopniach schodów prowadzących na piętro. Można też bezpłatnie wypożyczyć rower. Ranga festiwalu widoczna jest również, gdy przeglądamy listę twórców prowadzących kursy mistrzowskie, takich jak Cristian Mungiu, którego niedawno uhonorowano w Cannes nagrodą dla najlepszego reżysera. A działające aktywnie w ciągu roku kino artystyczne proponuje programy, o których tracące swoją dawną rangę budapeszteńskie sieci kin studyjnych mogą tylko pomarzyć.

Pracuję, dlatego pozwalam sobie tylko na jeden film dziennie. Dokument Ulrike Ottinger „Cień Chamissa” to jedno z moich najsilniejszych przeżyć filmowych. A „Ogień na morzu” Gianfranco Rosiego powinien obejrzeć każdy. Film Mungiu i jego kurs mistrzowski są inspirujące. Rozumiem wszystko, o czym mówi, jesteśmy przedstawicielami jednego pokolenia, wyrosliśmy w podobnym otoczeniu. Spotykam moich znajomych z Sarajewa. W programie, obok polskich produkcji, film fabularny Alexandry. I Gosia, która przyjechała tutaj jako krytyczka. Dobrze jest widzieć, jak żyją i pracują w swoim świecie.

Ostatniego dnia we Wrocławiu oglądam w Centrum Grotowskiego magiczne miejsce, podobne do paryskiego Théâtre des Bouffes du Nord.

Jeśli założony cel rezydentury zakłada, że zajmujący się sztuką ludzie pochodzący z dwóch różnych krajów zbliżą się do siebie, to udało się osiągnąć: na mojej prywatnej mapie znalazło się miejsce, które od tej pory nie będzie tylko pustą nazwą, ale splotem przeżyć, twarzy, obrazów ludzkich losów. I to, że ten obraz wciąż na nowo napełnia mnie energią, zawdzięczam wyjątkowo korzystnej konstelacji gwiazd.

## **Wroclaw. Útinapló.**

Vannak városok, ahova az ember vágyik, de a vágyainak okát nem pontosan tudja. Talán magyar és amerikai barátaimat irigyeltem, amikor a világ egyik legjobb színházi fesztiváljára igyekeztek, a Dialogra, és hatalmas lelkesedéssel írtak a helyről, a válogatásról, a szemléletről. Ilyenkor titkon felkerül fel egy-egy város a személyes térképünkre, mintegy a virtuális könyvjelzőink között becsillagozzuk azt, és megőrizzük az emlékezetünkben. Aztán egyszer úgy hozza az élet, hogy egy véletlen vagy olykor tudatos szándék révén el is jutunk oda. Hát, ilyen most nekem Wroclaw. Ahol művészrezidens lehetek a Kulturális Főváros 2016 keretében.

Már a vonatút jól indul, amikor egy középkorú nő helyet keres, s a fülkém előtt állva beinvitálom, utazzunk együtt. Irigylésre méltó, igazi kalandor: ausztrál telekommunikációs cég könyvelője, aki többnyire kiküldetésben él, jelenleg Mianmarban, szabadidejében pedig utazgat. Ó Krakkóba megy, Katowicén át, mint ezekben a napokban az emberek többsége. Ott kezdődik ugyanis a másfél millió embert vonzó Ifjúsági Világtalálkozó, amelyen a Pápa is jelen lesz. Aztán a zsúfolt wroclawi vonaton még két órát töltök.

Stanislaw vár a pályaudvaron, fényképről már ismerem. Az előző magyar rezidens, Károly július eleji fotóin már megismerem a Facebookon. Biciklivel van, máris a szívembe zárta magát, elkísér a szállásra. Kellemes lakás a városközpontban. Staszek utána még megmutat ezt-azt az egyik főutcán. Wroclawban érezhető a kulturális főváros friss nyomai, még látni, mi az, ami újonnan készült, de az emberek máris birtokba vették. Másnap elmegyünk Stanislawval a fesztiválklubba, a Barbarába, aztán megnézem egy háztömb belső udvarából nyíló második emeleti irodájukat: jó ízlésű terek, laza, hangulat. A belső udvarba össze vannak gyűjtve a 60-as évekből megmaradt neonreklámok, amelyeket visszahelyeztek a házfalakra, esténként üzemelnek is. Igazi retró hangulat, szerethető és ismerős.

Stazekkel és másik tíz résztvevővel Klass, a holland művészrezidens projektjének bemutatóján: Romániából áttelepült roma virágárus család életét követi, és a bemutató, melynek során nekünk magunknak is virágot kell átadnunk egy-egy járókelőnek a forgalmas belvárosi utcán (ahogy Hermannék nap, mint nap teszik, s mivel ez a megélhetésük, pénzt szeretnének kapni érte cserébe), első látásra érzelmesnek tűnik, de a helyzet maga élesben mégis feloldja a látszatot.

Ittlétem alatt zajlik a wroclawi Új horizontok nevű filmfesztivál, amit minden évben megrendeznek, idén azonban összefonódik a két esemény, része a kulturális főváros programjának. Csodálatosan szervezett programsorozat, remek válogatás. Több, mint ötven ideai film, a vetítők tele huszonevesekkel, nem nemcsak helyi fiatalok, de átjönnek ilyenkor Krakkóból, Varsóból is. Itt nem rongyázás zajlik, hanem a film igazi szeretete. Csodálatos, hogy az emeleti lépcsőfordulóban a fesztivál idejére idetelepült könyvtár van, hogy ha valakinek sok ideje van két film között, olvasni tudjon a folyosókon, emeleti lépcsőkön elhelyezett matracokon, párnákon. Ingyenes biciklikölcsönző. A fesztivál rangja abból is

látszik, hogy a mesterkurzusokra olyan rendezők is eljönnek, mint Cristian Mungiu, aki nemrég sétált ki Cannes-ból a legjobb rendezőnek járó díjjal. És hogy az év közben is aktív artmozi olyan programokat kínál, amit a leáldozóban lévő budapesti hálózatok csak álmodnak maguknak.

Dolgozom, ezért naponta csak egy filmet engedélyezek magamnak. Ulrike Ottinger Chamisso árnyékában című dokumentumfilmje egyik legerősebb filmélményem. Gianfranco Rosi filmjét, a Tűz a tengerent mindenkinek kötelezően meg kellene nézni. Mungiu filmje és mesterkurzusa inspiráló. Mindent értek, amiről beszél, egy generáció vagyunk, hasonlóan környezetben nőttünk fel. Találkozom szarajevói ismerősökkel. Aleksandra játékfilmje a versenyprogramban a lengyel filmek között. És Gosia, aki kritikusként van jelen. Jó látni, hogy saját életterükben hogy élnek, dolgoznak.

Utolsó wroclawi napomon a Grotowski Központban megnéztek egy a Bouffes du Nord-éhoz hasonló mágikus teret.

Ha egy rezidens programnak az a célja, hogy két ország művészettel foglalkozó emberei közelebb kerüljenek egymáshoz, akkor ez sikerült: saját térképemre felkerült egy földrajzi hely, amely mostantól nem egy puszta név lesz a, hanem élmények, arcok, életképek sora. S ha ez a kép újból és újból energiákkal tölt fel, az már külön a csillagok szerencsés állása.



**Anka Herbut**



6.11.

Zazdroszczę po raz pierwszy od przyjazdu tutaj. Choć chyba jest to raczej kwestia zazdrosnego smutku, z którym już tu przyjechałam. Laska, którą słyszę przez mój sufit, a jej podłogę, ma super seks, a ja nie mam akurat żadnego.

Na pewno ma super seks w weekendy. W tygodniu jakby trochę ucichło.

Na początku myślałam, że to wyjące dziecko, potem że bite zwierzę albo że jakaś baba tłucze kotlety na niedzielę. Coś między bezinteresowną przemocą i ciepłymi kapturami z flaneli. Nie było w tym poezji. Rozłożone na czynniki pierwsze nie brzmi to w sumie jakoś specjalnie podniecająco, ale złożone znowu w całość – działa. Zresztą w ogóle nie jestem przekonana, czy na Węgrzech tłucze się kotlety, co oznacza, że sabotuję własne skojarzenia. Co oznacza, że myślę literacko, a wcale nie chcę tak myśleć.

Kotlety w Polsce jeszcze tak – tym bardziej, że weekend.

Ale nie jestem teraz w Polsce. Nie ma kotletów. Jest seks.

Leżę na łóżku i słucham. Właściwie to ona mnie obudziła. Ktoś powinien zrobić taki budzik i powinien się on nazywać Barwy Szczęścia – jak ten serial. Chce mi się seksu.

-----  
Teraz mogę powiedzieć, że sąsiedzi mają na mnie kojący wpływ. Nie powiem, żeby ich ruchanie złagodziło swędzące mnie odczucie samotności, ale przynajmniej jakoś je wy-masowało.

Zastanawiam się, czy skondensowanie do dwóch dni życia seksualnego, które w naturalnych warunkach prowadziłoby się samo przez znacznie dłuższy okres, może świadczyć o tym, że to życie jest właśnie bardzo nieudane?

Jak byłam małą, brzydką dziewczynką kompulsywnie pochłaniającą jedzenie i najmniejsze przejawy miłości, ojciec codziennie przynosił mi z piwiarni za rogiem Snickersa. Może to była jakaś rekompensata za jego wieczorną nieobecność albo może dawało mu to poczucie podobne temu, co daje przywiezienie muszelki znad morza albo oscypka z gór dziecku, które całe wakacje spędziło w Będzinie. Jak był gorszy dzień, przynosił Marsa albo cokolwiek innego, co miało przynajmniej 90g cukru na 100. Te dostawy znaczyły na początku lat 90. znacznie więcej niż znaczyłyby teraz.

Może wyrażał w ten sposób miłość.

Nie zjadałam tych Snickersów od razu, tylko pakowałam do kartonowego pudełka, które wcześniej okleiałam złotym papierem w jakieś chyba kokardki. Dzięki temu miałam poczucie, że dostaję prezent oraz że go sobie daję.

Po tygodniu pudełko było pełne, bo zawsze w międzyczasie wpadło coś extra. Na bieżąco rozbrajałam to wszystko z papierków, a później jadłam na raz, nie wiedząc w sumie dokładnie, co jem – wyglądało tak samo i smakowało tak samo. Już po wszystkim leżałam otepiąta i zmiażdżona przez hiperglikemię.

Przez 5 dni żyłam myślą o weekendzie. Można znaleźć sporo przyjemności w ekstremalnym pochłanianiu słodczy, alkoholu oraz ludzi. Ale jest coś przyjemniejszego w samej myśli o tym.

Jeśli kobieta, która mieszka piętro wyżej daje sobie bana na seks przez cały tydzień albo jeśli go przez miesiąc po prostu nie ma, ale potem zawsze przyjmuje go w zwiększonej dawce, to na pewno wychodzi na tym lepiej niż gdyby pożądanie, którego jest przedmiotem, rozdzielić sprawiedliwie między 30 albo nawet 7 dni po trochu.

-----  
Właściwie to miało być zdjęcie fioletowego kalafiora, którego kupiłam tu na targu i który po francusku nazywa się ładniej, bo *graffiti choufleur*. Ale ponieważ mój aparat zmienia kadr jak chce, zrobiłam zdjęcie niczego między moimi udami, na których leży kalafior. Oprócz wszystkiego, czego na zdjęciu nie widać, a co zdecydowanie na nim jest, widać na pewno kawałek kalafiora.

7.11.

Czy jeśli myślę, że myśli mi się lepiej jak zamykam oczy, oznacza to, że się w sobie zamykam?

Lubię zamykać za sobą drzwi, być pozamykaną, trochę się ochronić (to na pewno nie brzmi jak zdania z pamiętnika).

Teraz wydaje mi się, że nie doświadczyłam opresyjnej odmiany samotności. Czyli mam rozbudowany aparat samoobronny w postaci wyparcia. Nie pamiętam takiej sytuacji = nie zapisałam takiej sytuacji.

Liceum, ostatnia klasa – grupowe zajęcia z psychologiem od wkurwionej na wszystko młodzieży. Pytanie: z czego nie byłabyś / nie byłbyś w stanie zrezygnować?

Z samotności.

Nie, to naprawdę nie była kokieteria. Ale od tamtej pory wychowawczyni bardziej mnie lubiła.

Samotność tutaj wygląda tak: coś jakby się stanęło na goło przed lustrem i się na siebie gapię cały dzień. A potem by się szło i by się na siebie gapię dalej, ale już bez lustra.

Za dużo w tym mnie. Czuję się jakbym, sobie rozdrapała coś, co już się zagoiło.

Handwritten notes on the left page of a notebook, including a small drawing of a person in a white dress.

Handwritten notes on the right page of a notebook, featuring a small photograph of a landscape.

Handwritten notes on the left page of a notebook, including a small photograph of a landscape.

Handwritten notes on the right page of a notebook, including a small photograph of a person's face.

Dzisiaj po raz trzeci w życiu byłam w węgierskiej aptece.

Jeden koleś powiedział, że jest to najbardziej powolna apteka w Peczu. Nie wiem, dlaczego tam wracam, ale wracam i po raz drugi spotykam tam starego faceta ze zdeformowaną stopą. Znowu jest ubrany w to samo, w co był ubrany pierwszego dnia. Jego stopa znowu jest dużo mniejsza i obłana od spodu 20cm obcasem. Zastanawiam się, jakie leki kupuje ten facet w aptece. Nie umiem nazwać go w myślach inaczej niż „koń” albo „stary ze zdeformowaną stopą”. No, może faktycznie brzmi to jakoś za długo i zbyt kwadratowo, ale nie może mnie to teraz i tutaj obchodzić. Zastanawiam się, czy to ma jakiś związek z tym, po co przyszedł do tej apteki.

Nadużywam słowa „chyba”.

A teraz myślę o dziadku z pikniku. Stanisław (zanim napisałam to imię, musiałam sprawdzić, czy tak ma na imię) jest stary. Widziałam jak wyszywał na płótnie logo swojej firmy-widmo. Stanisław nie ma już żony, za to kolekcjonuje zainteresowania. Rozmawiałam z nim jakieś 20 minut raz w życiu. Przesłał mi kartkę z wakacji w Rabce.

Powinam mu wysłać kartkę. Pozdrawiam z Peczu: myślę o panu, bo zastanawiam się czym jest samotność i czy jest wadą czy może być zaletą.

Nie można oswajać ludzi, zwierząt, świata, jeśli nie chce się o nich pomyśleć za miesiąc albo za rok. Nie wiedziałabym, co mam z nim zrobić.

Jak byłam leszczem, nie chciałam brzydkim koleżankom nosić lekcji, kiedy były chore.

Ale jak idę do knajpy, odruchowo siadam gdzieś na końcu albo z boku i jest to forma nieświadomionego podrywu na ofiarę losu. Jest w tym jakaś nadzieja, że cały świat ma strukturę autokaru, wiozącego wycieczkę z podstawówki do Sanoka i składa się przede wszystkim z ostatniego rzędu siedzeń, Żeby tam siedzieć, trzeba było być zajebistym. Raz tam siedziałam.

W ostatniej ławce w klasie.

W ostatnim rzędzie na grupowym zdjęciu.

Ostatnia w kolejce.

Ostatnia na liście.

Im dalej, tym gorzej.

Mój ojciec zawsze jak wracał z pracy, szedł do dużego pokoju, zamykał za sobą drzwi i włączył telewizor (znowu piszę o ojcu). Potem robiłam to samo. Jedyna różnica polegała na tym, że nie miałam pracy ani telewizora.

Sama łamię sobie teraz serce.

Jak to piszę, na zewnątrz wyje jakieś dziecko. Dzieci. Rozróżniam przynajmniej trzy głosy, które wyją tak już strasznie długo.

Boję się tutaj spać sama.

11x użyłam słowa „chyba”. Usunęłam wszystkie.

10.11.

Nie mam dzisiaj siły na Pecz. Mam dzisiaj siłę tylko na siebie.

Cieknie mi z nosa, mam tłuste włosy, bandaż na głowie, okres i dokonałam nieudanych zakupów w postaci kart do gry z kotami, które nie wiem jak działają, bo wszystko po węgiersku oraz wstążek ozdobnych w liczbie 5. Oglądam „Strumienie miłości” Cassavetesa. Dziękuję opatrności i lenistwu, że tego filmu wcześniej nie widziałam.

- So what do you think it is?

- Loss.

- You can't own anything, so how can you lose sth you don't own?

- Love is a stream. It's continous. It doesn't stop.

Zadzwoń do kogoś i powiedz do słuchawki: Do you believe that love is a stream?

Lepiej mi.

11.11.

Poznałam kota. Spóźniłam się ze zdjęciem, więc musiałam dokleić mu do ciała inną głowę. Tym samym karty z kotami okazały się wcale nie bezużyteczne, ale wręcz bardzo użyteczne. Kot zyskał twarz. Gdyby nie miał twarzy, ktoś mógłby pomyśleć, że kłamię.

Skype z F. Zrobiło mi się miękko-ciepło w środku. Powiedział, żeby go nie krytykować, bo jest wrażliwy. I nie dodał do tego dystansującego uśmiechu, śmiechu, rehotu – tego, co amortyzuje ryzykowną szczerłość. Chyba to mnie właśnie rozczula. Szkoda, że jest tego coraz mniej. Boję się, że któregoś dnia każde ważne słowo będziemy zalewać pastewnym poczućkiem humorku. Że się nie będziemy umieli już przed sobą odsłonić rozebrać, a i tak w sumie wszystko będziemy o sobie wiedzieć.

Jak chcę, żeby ktoś mnie dotknął, to dotykam.

Chcę się przytulić, to przytulam. Chcę pisać, piszę.

Podchodzę na ulicy, jest dobrze, a potem mamy miły dzień osobno. Happy end.



W ogóle tak nie jest. Kotom jest łatwiej.

Piątek wieczór – wróciła sąsiadka z góry.

Jednak co tydzień.

Ciężko się pisze pamiętnik jak się wie o tym, że ktoś ma go czytać. Jeszcze gorzej się pisze jak się wie o tym, że ktoś ma go czytać jak literaturę. Nie da się pisać pamiętnika i tekstu literackiego jednocześnie. Nie wiem jeszcze, w których momentach sobą steruję – nawet nie pisaniem, ale życiorysem. Mam świadomość tego, że jest to może mało interesujące albo że źle napisane. Trudno. Trudno, ale też super. Wrócę do tego materiału po jakimś czasie. Po takim, jakiego będę potrzebować do tego, żeby potraktować swój pamiętnik jak materiał do czegoś, co pamiętnikiem nie jest. To jeszcze nie teraz.

November 6.

Irigykedem, először az ideérkezésem óta. Bár ez inkább az irigységgel vegyes szomorúság kérdése, amivel ideérkeztem. A csajnak, akit a plafonon és az ő padlóján keresztül hallok, állati jó szexben van része, nekem meg épp semmilyenben.

Biztos hétvégén szexel ilyen jókat. Hét közben mintha kicsit elcsendesedne.

Eleinte azt hittem, egy böggő gyerek az, aztán hogy egy épp megvert állat, vagy hogy valami nőci rántott szeletnek való húst klopfol vasárnapra. Valami félúton az érdektelen erőszak és a meleg flanel papucsok közt. Nem volt ebben semmi költészet. Alkotórészeire bontva nem hangzik ez különösebben izgatón, de újra összerakva – hatásos. Amúgy egyáltalán nem vagyok meggyőződve róla, hogy Magyarországon klopfolják-e a rántott húsnak valót, ami azt jelenti, hogy épp szabotálom a saját asszociációimat. Ami azt jelenti, hogy irodalman gondolkodom, pedig egyáltalán nem akarok.

Hússzeletek Lengyelországban még igen – annál is inkább, hogy hétvége van.

De most nem vagyok Lengyelországban. Nincs rántott hús. Szex van.

Fekszem az ágyon és hallgatom. Igazából ez ébresztett fel. Valakinek kellene készítenie egy ilyen ébresztőórát. A „Boldogság Színei”-nek kellene nevezni, mint a sorozatot. Szexelni akarok.

---

Mondhatni, hogy a szomszédok nyugtató hatással vannak rám. Nem állítom, hogy a dugásuk enyhítené a kínzó magányosságérzetemet, de legalább valahogy kimasszírozza.

Azon gondolkodom, hogy a természetes körülmények közt jelentősen hosszabb időben eloszló szexuális élet két napba sűrítése vajon arról tanúskodik-e, hogy az a bizonyos élet éppen hogy félresikerült?

Amikor az ennivalót és a szeretet legkisebb megnyilvánulásait egyaránt kényszeresen faló, kicsi, csúnya kislány voltam, apám rendszeresen hozott nekem a sarok mögötti kocsmából egy-egy Snickerst. Talán egyfajta kárpótlás volt ez esti távollétei miatt, vagy talán ahhoz hasonló érzést keltett ez benne, mint amikor a tengerpartról egy kagylót vagy a hegyekből egy kis kecskesajtot visz az ember a gyerekeknek, aki az egész vakációt Będzinben tölti. Rosszabb napokon Marsot hozott, vagy bármi egyebet, aminek a cukortartalma 100-ból legalább 90 g volt. Ezek a szállítmányok a '90-es évek elején sokkal többet jelentettek, mint amennyit ma jelentenének.

Talán a szeretetét fejezte ki ilyen módon.

Ezeket a Snickerseket nem ettem meg rögtön, hanem egy kartondobozba rakosgattam őket, amelyet korábban talán valamiféle kokárdamintás aranypapírba csomagoltam. Ennek köszönhetően mindig kicsit olyan érzésem volt, hogy ajándékot kapok, és hogy me-



gajándékozom magam.

Egy hét után a doboz mindig tele volt, mert mindig beesett valami extra. Mindezt, ahogy jött, kicsomagoltam a papírjából, majd később egyszerre ettem meg mindet, igazából nem is tudva pontosan, hogy mit is eszem – mind ugyanúgy nézett ki, és az ízük is ugyanolyan volt. Az egész után meg csak feküdtem eltompulva és kiütve a toronymagas vércukortól.

Öt napon át a hétvégére gondolva éltem. Egész sok örömet lehet találni az édesség, alkohol vagy emberek extrém mennyiségben való bekebelezésében. De a pusztá rá gondolásban van valami még jobb.

Ha a nő, aki a fölöttem lévő lakásban lakik, egész héten át megvonja magától a szexet, vagy ha egy hónapon át egyszerűen nincs benne része, de aztán megemelt adagban veszi magához, biztosan jobban jár, mint ha a vágyat, ami rá irányul, igazságosan, kis részekre szétosztanánk 30 vagy akár 7 nap között.

-----  
Igazából ez a lila karfiol fényképe kellett volna legyen, amelyiket itt a piacon vettem, és aminek franciául sokkal szebb neve van: graffiti choufleur. De mivel a fényképezőgépem úgy változtat fókuszot ahogy akar, készítettem egy képet a semmiről a combjaim közt, melyeken a karfiol fekszik. Mindazon kívül, amit a fényképen nem látni, de egészen biztosan ott van, biztos látni lehet egy darabka karfiolt.

November 7.

Vajon ha úgy gondolom, hogy csukott szemmel könnyebb gondolkodnom, az azt jelenti, hogy magamba zárkózom? Szeretem becsukni magam mögött az ajtót, bezárva lenni, kicsit megvédeni magam (ez biztosan nem hangzik úgy, mint egy naplóbejegyzés).

Most úgy tűnik nekem, hogy nem tapasztaltam meg az elnyomó fajta magányosságot. Vagyis fejlett önvédelmi rendszerem van, ami bizonyos dolgok kizárásában nyilvánul meg. Nem emlékszem ilyen helyzetre = nem írtam le ilyen helyzetet.

Gimnázium, utolsó osztály – csoportos foglalkozás egy az egész világra dühös fiatalokra specializálódott pszichológussal. Kérdés: miről nem lennél képes lemondani?

A magányról.

Nem, ebben tényleg nem volt semmi nyalás. De onnantól a tanárnő jobban szeretett.

A magány itt így néz ki: mintha megállnál a tükör előtt meztelenül, és bámulnád magad egész nap. Aztán meg mennél és tovább bámulnád magad, de már tükör nélkül.

Túl sok van ebben belőlem. Úgy érzem, mintha felfakasztanék magamon valamit, ami már behegedt.

...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...



try to ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...



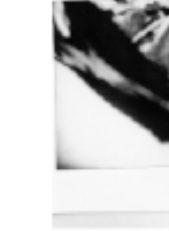
...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...

...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...



...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...

...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...  
 ...the ...



Ma életemben harmadszor voltam magyar gyógyszerésztárban.

Egy pasas azt mondta, hogy ez a leglassúbb patika Pécsen. Nem tudom, miért járok oda vissza, de visszajárok, és másodszer találkoztam ott egy eltorzult lábfejű öreg főszerrel. Megint ugyanazokba a ruhákba van öltözve, amikben az első napon is volt. A lábfeje megint sokkal kisebb és megint egy 20 centis sarok tartja lentről. Azon gondolkodom, vajon milyen gyógyszereket vásárolhat ez a pasas a patikában. Nem tudom gondolatban másképp nevezni, mint „ló” vagy „az eltorzult lábú öreg”. Na, talán tényleg túl hosszan és szögletesen hangzik mindez, de ez engem itt és most nem érdekelhet.

Azon gondolkodom, van-e ennek valami köze ahhoz, amiért idejött ebbe a patikába.

Túl sokat használom a „talán” szót.

Most az öregapóra gondolok a piknikről. Stanisław (mielőtt leírtam a nevet, ellenőriznem kellett, hogy tényleg ez-e a neve) öreg. Láttam, amikor hímezte fel egy vászonra a fantomcége logóját. Stanisławnak már nincs felesége, viszont érdeklődéseket gyűjt. Életemben egyszer beszélgettem vele egy 20 percet. Küldött nekem egy lapot a nyaralásáról Rabkából.

Küldenem kellene neki egy lapot. Üdvözlöt Pécsről: gondolok Önre, mert azon gondolkodom, mi a magány, és hogy hiba-e vagy inkább előny.

Nem lehet megszelídíteni embereket, állatokat, a világot, ha egy hónap vagy év múltán már nem akarunk rájuk gondolni. Nem tudnám, mit kezdjek vele.

Mikor lúzer voltam, nem akartam a csúnya osztálytársaimnak elvinni a leckét, amikor betegek voltak.

Vizont ha kocsmába megyek, reflexszerűen valahol hátul vagy oldalt ülök le, és ez egyfajta tudat alatti vadászat a sors áldozatára. Valamifajta remény van benne, hogy az egész világ struktúrája egy az általános iskolás osztálykirándulást Sanokba vivő buszéhoz hasonlít, és mindenek előtt az utolsó ülésorból áll. Hogy ott ülhes, kurva jó kellett legyél. Egyszer ültem ott.

Az utolsó padban az osztályban.

Az utolsó sorban a csoportos foglalkozáson.

Az utolsó a sorban.

Az utolsó a listán.

Minél hátrább, annál rosszabb.

Az apám, amikor hazajött a munkából, mindig ment a másik szobába, becsukta maga mögött az ajtót, és bekapcsolta a tévét. (Megint az apámról írok.) Később én ugyanezt csináltam. Az egyetlen különbség az volt, hogy nem volt se munkám, se tévém.

A saját szívemet töröm épp össze.

Ahogy ezt írom, kint visít valami gyerek. Gyerekek. Legalább három hangot tudok elkülönböztetni, amelyek már rém hosszú ideje visítanak.

Félek itt egyedül aludni.

11x használtam a „talán” szót. Mindet kitöröltem.

November 10.

Nincs ma erőm Pécsre. Ma csak saját magamra van erőm.

Folyik az orrom, zsíros a hajam, kötés van a fejemen, menstruálok, és épp túl vagyok egy sikertelen bevásárláson, az eredménye 5 darab díszszalag és egy macskás játékkártya-készlet, amiről nem tudom, hogyan kell vele játszani, mert minden magyarul van. Cassavetes „Szeretetáradatát” nézem. Hálás vagyok a sorsnak és a lustaságnak, hogy ezt a filmet még nem láttam korábban.

- So what do you think it is?

- Loss.

- You can't own anything, so how can you lose sth you don't own?

- Love is a stream. It's continuous. It doesn't stop.

Felhívni valakit és azt mondani a kagylóba: Do you believe that love is a stream?

Jobban érzem magam.

November 11.

Megismertem egy macskát. Elkéstem a fényképpel, úgyhogy a testéhez egy másik fejet kellett illesztenem. Így a macskás kártyák egyáltalán nem bizonyultak haszontalannak, sőt kifejezetten nagyon hasznosnak. A macska arcot kapott. Ha nem lenne arca, valaki azt hihetné, hazudok.

Skype F-fel. Puha-meleg érzésem lett belül. Azt mondta, ne kritizáljam, mert érzékeny. És mindezt nem kísérté távolságtartó mosollyal, nevetéssel, röhögéssel – azzal, ami amoralizálja a kockázatos őszinteséget. Talán épp ez érzékenyít el. Kár, hogy ebből egyre kevesebb van. Félek, hogy egy napon minden fontos szót nyakon öntünk majd egy kis betevő humorérzékecskével. Hogy nem leszünk már képesek megnyílni, levetközni egymás előtt, de közben meg mégis mindent tudni fogunk egymásról.

Ha azt akarom, hogy valaki megérintsen, megérintem.

100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E

100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E

7-11 rally basis



To every possible job...  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E

100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E



100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E  
 100011-9 1976.5.15 E

Ha egy ölelésre lenne szükségem, megölelem. Írni akarok, írok.

Odamegyek valakihez az utcán, minden szép és jó, aztán szép napunk van külön-külön.  
Happy end.

Egyáltalán nincs így. A macskáknak a legkönnyebb.

Péntek este – visszatért a fenti szomszéd nő.

Mégis hetente.

Nehéz úgy naplót írni, ha tudom, hogy valaki olvasni fogja. Még rosszabb úgy írni, ha tudom, hogy valaki irodalomként fogja olvasni. Nem lehet egyszerre naplót és irodalmi szöveget írni. Még nem tudom, mely pillanatokban vezérelem saját magam – nem az írást, az életemet. Tudatában vagyok, hogy mindez talán kevésbé érdekesítő, vagy rosszul van megírva. Ez van. Ez van, de ez szuper is. Visszatérek ehhez az anyaghoz egy idő múlva. Annyi idő múlva, amennyire szükségem lesz ahhoz, hogy a naplómát valami olyasmi nyersanyagának tekintsem, ami nem napló. Ez még nem most van.

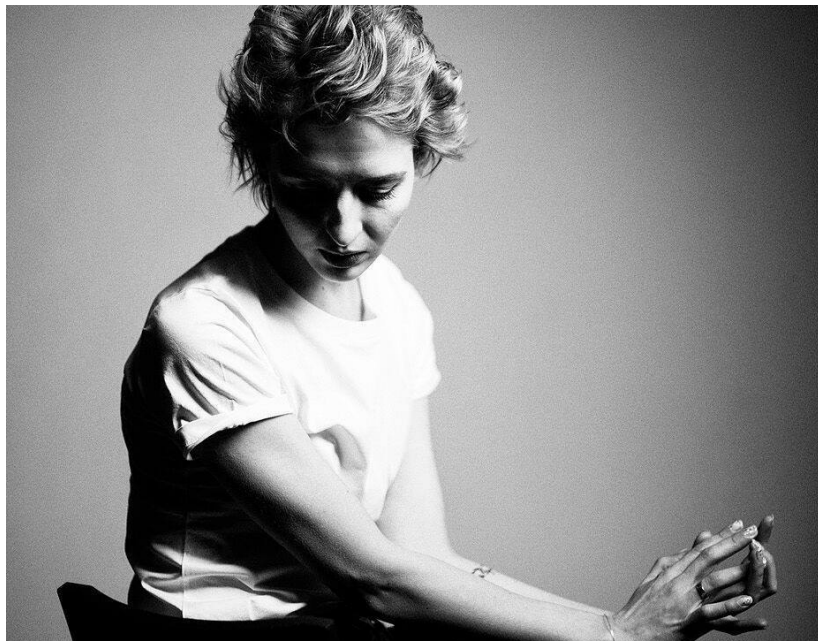


**Ilona Witkowska (1987)** – poetka, laureatka Nagrody Specjalnej Jury podczas XVI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina oraz Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” w kategorii „Debiut roku” za książkę „Splendida realta”. Absolwentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracuje z pismem artystyczno-literackim „Rita Baum”.

Rezydencja: Pecz, listopad 2015

**Ilona Witkowska (1987)** – költő, a XVI. Jacek Bierezin Lengyel Országos Költészeti Verseny zsűri-különdíjasa és a „Silesius” Wrocławii Költészeti Díj nyertese „az Év Bemutatózása” kategóriában, a „Splendida realta” c. könyvért. A Wrocławii Egyetem kultúr-történeti szakán végzett. A „Rita Baum” művészeti-irodalmi folyóirat munkatársa.

Látogatás: Pécs, 2015. november







**József Keresztesi** (1970) – poeta, krytyk literacki i dramaturg; zdobywca nagrody im. Pétera Balassy. W latach 2001-2007 redaktor pisma literackiego „Jelenkor”, pracował także jako wykładowca na Uniwersytecie w Peczcu. Członek i autor tekstów zespołów Szóránya Emlékeznekar (Clothed Mother Memorial Band) i Új Párduc (New Panther) w latach 1994-2010. Działa także w grupie Cabaret Kutuzov.

Rezydencja: Wrocław, kwiecień 2016

**Keresztesi József** (1970) – Balassa Péter díjas költő, irodalomkritikus és dramaturg. 2001-2007 közt a „Jelenkor” irodalmi folyóirat szerkesztője, a Pécsi Tudományegyetem oktatója. A Szóránya Emlékeznekar (Clothed Mother Memorial Band) és Új Párduc (New Panther) együttesek tagja és szövegírója 1994-2010 közt. A Cabaret Kutuzov csoport tagja.

Látogatás: Wrocław, 2016. április



**Károly Méhes** (1965) – poeta, pisarz, dziennikarz, główny koordynator Pécs Writers Program. Absolwent Indiana University of Pennsylvania i Uniwersytetu Janusa Pannoniusa w Peczcu. Autor ponad 20 różnorodnych publikacji (poezji dla dzieci, tomów wierszy, krótkich opowiadań i powieści), zdobywca m.in. Nagrody Węgierskiego Stowarzyszenia Pisarzy. Przebywał na różnorodnych wyjazdach stypendialnych – w Szwajcarii, Niemczech, Austrii, Szwecji czy w USA.

Rezydencja: Wrocław, lipiec 2016

**Méhes Károly** (1965) – költő, író, újságíró, a Pécs Writers Program fő koordinátora. Az Indiana University of Pennsylvania-n és a Pécsi Janus Pannonius Tudományegyetemen végzett. Több mint 20 különféle publikáció (gyermekversek, verseskötetek, novellák és regények) szerzője, elnyerte többek közt a Magyar Írószövetség Díját is. Számos külföldi ösztöndíjprogramon vett részt – Svájcban, Németországban, Ausztriában, Svédországban és az Egyesült Államokban.

Látogatás: Wrocław, 2016. július

**Kinga Keszthely** – ukończyła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Janusa Pannoniusa w Péczu (filologia węgierska i angielska), a później na Akademii Teatralnej i Filmowej w Budapeszcie (dramaturgia). W trakcie studiów spędziła semestr na Washington State University w Stanach Zjednoczonych (stypendium ISEP) i cały rok na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku (stypendium Fullbrighta). Obecnie przeprowadza niezależne badanie w Szkole Doktoranckiej Wydziału Teatralnego Akademii Teatralnej i Filmowej w Budapeszcie. Po uzyskaniu dyplomu z dramaturgii, najpierw podpisała kontrakt z Teatrem Gergely Csiky’ego w Kaposvárze, następnie z Teatrem Józsefa Katona w Budapeszcie, później dołączyła do zespołu Teatru Narodowego. Obecnie pracuje dla Węgierskiej Opery Narodowej.

Rezydencja: Wrocław, lipiec 2016

**Keszthelyi Kinga** (1968) – a Janus Pannonius Tudományegyetem Bölcsészettudományi karán magyar-angol szakot, majd a Színház- és Filmművészeti Egyetem Színházi Tanszékén dramaturg szakot végzett. Tanulmányai során ISEP-ösztöndíjjal egy félévet az Egyesült Államok-beli Washington State University-n, később Fulbright-ösztöndíjjal egy évet a New York-i Columbia University-n hallgatott. Jelenleg a Színház- és Filmművészeti Egyetem Színházi Tanszékén a Doktori Iskola egyéni felkészülője. A dramaturg diploma megszerzése után először a kaposvári Csiky Gergely Színházhoz szerződött, aztán a budapesti Katona József Színház, később a Nemzeti Színház társulatának tagja lett. Jelenleg a Magyar Állami Operaház dramaturgja.

Látogatás: Wrocław, 2016. július



**Anka Herbut** (1983) – dramaturżka, krytyczka sztuki, recenzentka teatralna i filmowa, kuratorka. Zajmuje się nowymi mediami, dramaturgią ruchu i performatyką języka. Działa na pograniczu praktyki artystycznej i refleksji teoretycznej. Publikuje na łamach „Dwutygodnika”, „Notatnika Teatralnego”, „Didaskaliów”, „BIURa”, „POSTu”, „Monogramu” i wydawanego przez wrocławski Food Think Tank „Gastro Zina”. Laureatka XIX Konkursu im. Krzysztofa Mętraka dla młodych krytyków filmowych (2015). Należy do wrocławskiego kolektywu artystycznego Identity Problem Group [IP].

Rezydencja: Pecz, listopada 2016

**Anka Herbut** (1983) – dramaturg, művészeti, színi- és filmkritikus, kurátor. Modern médiákkal, mozgás-dramaturgiával és nyelvi performansia-elmélettel foglalkozik. A művészeti gyakorlat és az elméleti reflexió határvidékén működik. Rendszeresen publikál a „Dwutygodnik”, „Notatnik Teatralny”, „Didaskalia”, „BIURo”, „POST”, „Monogram” és a wrocławai Food Think Tank által kiadott „Gastro Zin” folyóiratok hasábjain. A fiatal filmkritikusok XIX. „Krzysztof Mętrak” Versenyének díjazottja (2015). A wrocławai Identity Problem Group [IP] művészcsoport tagja.

Látogatás: Pécs, 2016. november





## **Spis treści**

Pecz – Wrocław. Historia wspólnej samotności	3
Ilona Witkowska	10
József Keresztesi	44
Károly Méhes	70
Kinga Keszthelyi	114
Anka Herbut	120
Biogramy	136

## ***Tartalomjegyzék***

Pécs – Wrocław. A közös magány története	6
Ilona Witkowska	28
József Keresztesi	58
Károly Méhes	92
Kinga Keszthelyi	117
Anka Herbut	128
Életrajzok	136

Program Rezydencji Artystycznych A-i-R Wro  
© Biuro Festiwalowe Impart 2016  
ISBN: 978-83-946924-6-9

Redakcja i korekta: Stanisław Abramik

Tłumaczenie tekstów Józsefa Keresztesiego, Károly'ego Méhesza i Kingi Keszthelyi  
na język polski: © Kinga Piotrowiak-Junkiert  
Tłumaczenie tekstu Ilony Witkowskiej na język polski: © Dániel Bagi  
Tłumaczenie tekstów Stanisława Abramika oraz Anki Herbut na język węgierski:  
© Szubert László

Projekt graficzny i skład: Margareta Szejtkowska

Fotografie: © Stanisław Abramik: 139, Krzysztof Ćwik: 137, 138, Anka Herbut: 123, 126,  
130, 133, Fabien Lédé: 140, Károly Méhes: 71, 82, 84, 90, 91, 92, 103, 105, 111, 113,  
Roland Okoń: 136, Ilona Witkowska: 27

Program Rezydencji Artystycznych A-i-R Wro jest częścią Europejskiej Stolicy Kultury  
Wrocław 2016 i został dofinansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Naro-  
dowego RP.

Niniejsza publikacja dostępna jest na licencji Creative Commons – na tych samych  
warunkach 3.0. Treść licencji jest dostępna na stronie: [www.creativecommons.org/  
licenses/by-sa/3.0](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0).



Biuro Festiwalowe Impart 2016  
ul. Komuny Paryskiej 39-41  
50-451 Wrocław  
[www.wroclaw2016.pl](http://www.wroclaw2016.pl)

Program Rezydencji Artystycznych A-i-R Wro  
[www.airwro.wroclaw2016.pl](http://www.airwro.wroclaw2016.pl)  
[rezydencje@wroclaw2016.pl](mailto:rezydencje@wroclaw2016.pl)



A-i-R Wro Művészeti Rezidencia Program  
© Impart 2016 FesztiváIROda  
ISBN: 978-83-946924-6-9

Szerkesztés és lektorálás: Stanisław Abramik

Keresztesi József, Méhes Károly és Keszthelyi Kinga szövegeinek fordítása lengyel nyelvre: © Kinga Piotrowiak-Junkiert  
Ilona Witkowska szövegének fordítása lengyel nyelvre: © Bagi Dániel  
Stanisław Abramik és Anka Herbut szövegeinek fordítása magyar nyelvre: © László Szubert

Grafikai tervezés és összeállítás: Margareta Szejtkowska

Fényképek: © Stanisław Abramik: 139, Krzysztof Ćwik: 137, 138, Anka Herbut: 123, 126, 130, 133, Fabien Lédé: 140, Károly Méhes: 71, 82, 84, 90, 91, 92, 103, 105, 111, 113, Roland Okoń: 136, Ilona Witkowska: 27

Az A-i-R Wro Művészeti Rezidencia Program a Wrocław 2016 Európa Kulturális Fővárosa projekt része, és a Lengyel Köztársaság Kulturális és Nemzeti Örökség Miniszterének társfinanszírozásával működik.

Ez a kiadvány Creative Commons licenc alapján hozzáférhető – ugyanazon 3.0 feltételek alapján. A licenc tartalma hozzáférhető a [www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0) internetes oldalon.



Impart 2016 FesztiváIROda  
Komuny Paryskiej 39-41  
50-451 Wrocław  
Lengyelország  
[www.wroclaw2016.pl](http://www.wroclaw2016.pl)

A-i-R Wro Művészeti Rezidencia Program  
[www.airwro.wroclaw2016.pl](http://www.airwro.wroclaw2016.pl)  
[rezydencje@wroclaw2016.pl](mailto:rezydencje@wroclaw2016.pl)

# PL:HU



WROCLAW 2016  
Europejska Stolica Kultury



SFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

WSPÓŁORGANIZATORZY



PARTNER STRATEGICZNY



PROGRAM EXE  
WROCLAW 2016



MIĘDZYNARODOWA SIĘĆ  
REZERWA ARTYSTYCZNYCH



PARTNER



PATRONAT

